Cena 10 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III | Warszawa, 2 lutego 1947 r. | Nr 5 (62)

Dominik Horodyński

1863 – 1947

„Nieszczęsne narody łagodne, które w myślach stawiają pół kroku
A za to granic nie znają w szafowaniu krwią".

Ten cytat wyjęty jest z wiersza Czesława Miłosza, pisanego w ostatnich latach okupacji. Można by podobnych cytatów przytoczyć wiele. Wołają tak samotni ludzie naszego pokolenia, wołali samotni ludzie pokoleń poprzednich. Wołali mniejsi i więksi, wołali głosem rozsądku, głosem błagania, głosem rozpaczy. Wołali i wołają na próżno.

Cień tragiczny chochoła ciąży nad Polakami i w takt złudnej muzyki z pokolenia na pokolenie zjeżdżamy z klęski w klęskę — i to w klęskę, z której nikt nie wyciąga wniosków. Jeśli się pamięta historię Polski ostatnich stukilkudziesięciu lat, jeśli się świadomie przeżyło okres ostatnich dziesięciu lat tej historii — okres nieprawdopodobnych błędów kierowników narodu i nie notowanej nawet w naszych dziejach tragedii skutków — jeśli się zna nastroje ludzi w Polsce, ludzi żyjących nadal, w swojej własnej rzeczywistości, mało mającej z rzeczywistością prawdziwą wspólnego, jeśli się z tymi ludźmi stale rozmawia, to trudno jest się łudzić, że pisanie — nawet najprawdziwsze i najszczersze — łatwo może trafić do przekonania. Piszących krwią serca własnego było już wielu i pisali na darmo.

Jeszcze przed wojną opowiadano mi anegdotę, która prawdopodobnie jest prawdziwa. Gdy na Kongresie wiedeńskim ks. Adam Czartoryski walczył o sprawy polskie, spotkał się z dużymi trudnościami ze strony Talleyrand'a. Legiony polskie walczyły po stronie Napoleona i Talleyrand, jako napoleoński minister, dobrze znał męstwo i zasługi bojowe Polaków. W prywatnej rozmowie Czartoryski wypomniał mu: „pan, jako minister francuski, powinien być ostatni moim wrogiem, dobrze pan wie, ile krwi polskiej polało się za was". — „Tak — odparł wielki dyplomata — ale my w tej chwili nie wojujemy, a staramy się budować pokój na długie lata. Pokoju tego nie możemy oprzeć na narodzie, który zdradza wyraźne instynkty samobójcze". Ten sąd o Polakach wydał Talleyrand przed powstaniami — przed Styczniem i przed Warszawą. Tayllerad przeszedł do historii jako jeden z największych umysłów politycznych w dziejach Europy.

Na narody mądre i na narody szczęśliwe też czasem spadają klęski — ale dlatego narody te są szczęśliwe, że z klęsk wyciągają wnioski, że zdobywają doświadczenie, że się uczą. Dlatego żaden z tych narodów nie przegrał wszystkich swoich powstań, a napewno nawet gdyby to się stało nie byłby z tego dumny. W Polsce ludzie ogłuszeni klęską szukają ratunku i pocieszenia w sprowokowaniu jeszcze większej klęski. Niestety łancuch taki nie może trwać w nieskończoność — jeśli dorzucimy jeszcze jedno ogniwo, zamknie się śmiercią narodu.

Nie po to piszę te uwagi, żeby się wkupić do grona nowych pozytywistycznych publicystów. Każdy naród ma swoją odrębną psychikę, którą szanować trzeba, a zmienić można tylko przez długie, troskliwe i świadome celów wychowywanie. Takie właśnie, jakiego nigdy nie mieliśmy. Psychika narodu polskiego składa się z pierwiastków romantycznych, potrzebuje podniet uczuciowych, szuka inponderabilli. Te cechy powodują swoiście polski paradoks, że ściągają na nas najstraszniejsze nieszczęścia, które dzięki nim właśnie przetrzymujemy z podziwu godną odpornością, co w dalszych skutkach wywołuje pogłębienie i jeszcze większy kult tych jednostronnych wartości. A przekroczyliśmy właśnie próg epoki, w której zalety i wartości nasze jeśli zostaną wydobyte i mądrze pokierowane, umożliwią nam nie żadne „przetrwanie", a odegranie tej niesłychanie odpowiedzialnej roli, jaką słabość Europy i chaos świata nam stawia. Jeśli zostaną źle pokierowane, naprowadzą nas na tragiczną drogę nie tylko zmarnowania możliwości, ale „walki bez nadziei i śmierci bez sławy".

Uwagi te sprowokowała mijająca właśnie rocznica powstania styczniowego, przed którym Władysław Czartoryski, zacytowanymi wyżej słowami — ostrzegał. Ostrzegał ten sam człowiek, który w dwa miesiące potem za wybuch był współodpowiedzialny. Dzisiaj rocznica ta mija przy akompaniamencie procesów politycznych i walk bratobójczych mija, gdy uczuciowość natury polskiej walczy jeszcze z twardymi nakazami rozumu politycznego. I wszystko to się dzieje u progu roku decydującego — tak trudnego roku, że nawet naród zdyscyplinowany i zjednoczony nie miałby łatwego egzaminu. Dlatego jest o czym pisać, choć nie jednemu wydawaćby się mogło, że piszemy w kółko to samo.

* * *

Tak zwany Obóz Demokratyczny — ludzie, którzy przejęli na siebie główny ciężar odpowiedzialności za losy państwa polskiego, przeszli w okresie ostatniej wojny zasadniczą ewolucję. Przed wojną skrajna lewica, a przede wszystkim komuniści, uważali za konieczny etap postępu nie tylko gwałtowną rewolucję socjalną, ale też okres dyktatury proletariatu, który w ich doktrynie był czynnikiem ponad-narodowym. I w Polsce i w innych krajach Europy, gdzie komuniści doszli do władzy, obserwujemy dziś odwrót od tych zasad. Wydaje mi się, że odwrót ten należy traktować w sposób poważny, nie jako wyraz taktyki, ale jako wynik przeżyć i doświadczeń wojennych. Okazuje się, że elementy patriotyczne i polityczne przeważają nad socjalnymi i gospodarczymi — nawet nad doktrynalnymi.

Podobno ewolucja byłaby wskazana i w zagadnieniu stosunku do naszej przeszłości. Tutaj bowiem obserwujemy poważne niekonsekwencje. Zasługą dziś już historyczną „ludzi z Lublina" było wskazanie społeczeństwu polskiemu realnej polityki w stosunku do Rosji. Nie tu miejsce rozwodzić się nad tym zasadniczym problemem. Wystarczy stwierdzić, że wbrew opinii ogółu, polityka realizmu została podjęta i konsekwentnie przeprowadzona. Okazało się, że była to jedyna polityka, jaką należało prowadzić. W tragicznych momentach dziejów porozbiorowych Polski występowali zawsze na arenę realiści, który w ostatniej fazie rozgrywki przegrywali na rzecz popieranych przez społeczeństwo — jak byśmy dziś powiedzieli — maksymalistów. „Ludzie z Lublina" są pierwszymi realistami, którzy wygrywają. Ale równocześnie przeprowadzili oni program rewolucji i reform socjalnych, ten program, który w nieco innym kontekście, był głoszony przez tragicznych „maksymalistów", bohaterów walk wyzwoleńczych Europy i powstań polskich. I tutaj zrodził się dylemat, na jaką tradycję historyczną powoływać się ma dzisiejszy obóz rządzący — na tradycję realnej myśli politycznej, czy na tradycję walk rewolucyjnych i powstańczych. Jak dotychczas bowiem w naszej historii te dwa nurty były sobie wrogie i obce. Hasło realizmu nie jest hasłem odpowiednim do mobilizacji sił społecznych, a szczególnie polskich. Bez wahania i napewno szczerze ludzie lewicy wybrali tradycję Mierosławskich i Trauguttów. Tradycja ta była im bliższa, bo bliższe im były te idee ogólno ludzkie, które rewolucjonistów wszystkich krajów przez wiek dziewiętnasty aż do naszych dni mobilizowały do walki. Tymczasem w czasie okupacji dookoła Delegatury Rządu, dawnych stronnictw politycznych, a przede wszystkim Armii Krajowej, w imię tej samej powstańczej tradycji skupiła się większość społeczeństwa polskiego w potężnym nurcie walki i poświęcenia. Najsilniejszym akordem tej tradycji — przewyższającym wszystkie dotychczasowe — było powstanie warszawskie. Już w pierwszych dniach po wyzwoleniu nastąpił konflikt, który nastąpić musiał. W imię tej samej tradycji jedni narzucali i głosili realizm polityczny z nieuniknioną w takich wypadkach i w takiej sytuacji brutalnością, drudzy konspirowali i udawali się do lasów. Ten paradoks trwa. Młodzież parti robotniczych wychowywana jest na

Wytyczne

BILANS I ZADANIA

OKRES walk przedwyborczych można uznać za zamknięty. Gdyby chcieć dokonać bilansu tego okresu — trzeba by stwierdzić często saldo ujemne.

Będziemy powtarzać głośno, że o charakterze walk politycznych w Polsce nie zawsze decydowały właściwie pojęte interesy narodu.

Będziemy powtarzać głośno, że polska racja stanu nakazuje nam odsunąć się jak najdalej od międzymocarstwowej gry politycznej, by, broniąc swych interesów w Europie, skupić wszystkie siły dla odbudowy moralnej i materialnej Polski.

W walce polityoznej, toczącej się dotąd między stronnictwami rządzącymi a opozycją, pragnącą całkowitego przewrotu stosunków politycznych w Polsce, zabrakło czynnika trzeciego — pośredniczącego, który by łączył zrozumienie polskiej racji stanu, z autorytetem w środowiskach opozycyjnych. Tym czynnikiem może być tylko społeczny ruch katolicki, pod dwoma jednak warunkami —

by budził on swoją postawą katolicką zaufanie Hierarchii Kościoła,
by jego rola była należycie doceniona przez stronnictwa rządzące.

Rozwój katolickiego ruchu społecznego i spełnienie przezeń zadań na nim ciążących, jest więc uzależnione z jednej strony od właściwego rozwiązania problemów katolickich w życiu publicznym i od dojrzałości wewnętrznej ruchu. Jak podkreślaliśmy to już parokrotnie, rozwiązanie zasadniczych problemów Kościoła na płaszczyźnie państwowej, może być dokonane zasadniczo tylko między Episkopatem Polski a Rządem. Zadaniem natomiast w całej pełni ciążącym na katolickim ruchu społecznym — to wykazanie się istotną dojrzałością ideową i osobistą.

Okres miniony — to okres ciężkich i bolesnych doświadczeń na tym odcinku. Stwierdzone zostały bowiem zarówno rozbieżności ideowe, sprzeczności taktyczne, jak i daleko zaawansowane walki personalne. U podstaw wszystkich niepowodzeń i rozczarowań minionego okresu — tkwią przede wszystkim właśnie te elementy.

Jeśli wybory do Sejmu zastały katolicki ruch społeczny bez własnej struktury organizacyjnej, nie gotowy do startu politycznego, jeśli tylko śmiesznie mała grupka działaczy mogła kandydować pod hasłem jawnie katolickiej postawy, jeśli posłów z tej grupy będzie tylko znikoma ilość — to przede wszystkim dla tego, że zużywało się siły na pokonywanie trudności, piętrzących się we własnym obozie, zamiast je skupić wokół niezwykle trudnego zadania startu w powojennych zmienionych warunkach.

Zapytujemy wszystkich odpowiedzialnych działaczy społecznego ruchu katolickiego w Polsce — jak długo jeszcze ten stan rzeczy ma trwać. U progu nowego okresu, w obliczu potężniejących zadań, przy pełnej świadomości, że każdy dzień stracony stwarza nowe trudności — zapytujemy publicznie wszystkie katolickie środowiska społeczne — co zrobiłyby i co robią, by przyśpieszyć unifikację wysiłków swojego obozu?

Różnice w pojmowaniu wielu zagadnień obecnych istnieją i istnieć muszą. Muszą jednak istnieć i imponderabilia, uznawane bezwzględnie i uniemożliwiające przenoszenie tarć poza ramy obozu katolickiego.

Rozładowanie animozji, zjednoczenie wysiłków — oto hasła dnia.

W kraju...

POD ADRESEM MINISTERSTWA ODBUDOWY

PALMIRY — miejsce, gdzie rozstrzelano kilkanaście tysięcy warszawiaków, zostało uznane za specjalny cmentarz poległych w walkach z okupantem. Nieopodal miejsca straceń Polski Czerwony Krzyż założył cmentarz, gdzie pochowano ze szczególną pieczołowitością ciała ekshumowanych, w dużym procencie już dzisiaj rozpoznanych skazańców. Obecnie cmentarz ten ma zostać wyświęcony, jako „Mauzoleum narodowe“ które po wieczne czasy będzie otaczane czcią i opieką społeczeństwa warszawskiego. Prace koło budowy owego Mauzoleum już się rozpoczęły.

Przed wielu miesiącami, gdy akcja ekshumacyjna została ukończona, Ministerstwo Odbudowy, jako instytucja powołana obecnie do opieki nad cmentarzami cywilnymi minionej wojny, zadecydowało, że ciała wszystkich pomordowanych na Palmirach winny spocząć tylko na palmirskim cmentarzu - Mauzoleum. Ta ze wszechmiar słuszna i godna decyzja została podyktowana przede wszystkim względami czci dla tych paru tysięcy męczenników. Groby ich rozrzucone po różnych cmentarzach — prędko uległy by zapomnieniu, podzieliły by los wszystkich grobów rodzinnych, o które następne pokolenia zazwyczaj przestają się troszczyć. Groby te rozrzucone po cmentarzach, nie miałyby zapewnionej tej wiecznej opieki, jaką przez długie lata, tak długie jak będzie istnieć Warszawa, da im specjalna troska społeczeństwa. Groby te rozrzucone przestały by dawać świadectwo wymowne z jednej strony niemieckiego okrucieństwa, z drugiej — naszej walki wyzwoleńczej. Nie zapominajmy, iż wielu z rozstrzelanych leży teraz na cmentarzu palmirskim wśród swych towarzyszy broni i walki. Nie zapominajmy wreszcie, iż tym zamordowanym szczątkom należy się nakoniec chrześcijański odpoczynek, jakiego im nie zapewniłyby napewno ciągłe ekshumacje rodzinne.

Te wszystkie przyczyny złożyły się na godziwą decyzję. Ludzie, którzy poszli odwiedzić w Dni Zaduszne swych bliskich na tym cmentarzu — zrozumieli w pełni jej słuszność. Na miejscu odczuli powagę tych Grobów.

Zdawało się, że wszystko jest na najlepszej drodze gu zbudowaniu narodowego Mauzoleum, takiego, jak cmentarz na Rossie, jak Cmentarz Orląt Lwowskich.

Tymczasem, gdzieś parę tygodni temu, robotnicy Zarządu Miejskiego zjawili się na Palmirach, by dokonać ekshumacji i przewiezienia do jakichś grobów rodzinnych dwóch ciał: ks. Krawczyka i Rożałowskiej. Rodzinom nie odpowiadało widocznie, by ciała ich bliskich znajdowały się w Mauzoleum. Mimo sprzeciwów władz cmentarza trafiły protekcjami do odpowiednich urzędów — i rozpoczęła się powtórna ekshumacja, powtórne naruszenie spokoju zmarłych...

A stało się to możliwe dlatego, iż Ministerstwo Odbudowy z tygodnia na tydzień odwleka wydanie dekretu o nienaruszalności tego typu cmentarzy wojennych. Wydaje się nam, iż winno to nastąpić jak najprędzej. Ludzi małego serca i skromnej wyobraźni jest dosyć, by po raz wtóry rozpoczęto ekshumacje, niszczące spokój Tych Ciał.

tradycyjnym kulcie romantyzmu i powstań, a równocześnie w toczącym się procesie WiN'u kpt. Rybicki tłumaczy, jak trudno jest człowiekowi wychowanemu na Księgach pielgrzymstwa, zapatrzonemu w Emilię Plater, Langiewicza i Traugutta, przestawić się na realizm polityczny, którego konieczność widzi, ale potrzebuje trochę czasu, aby się z tym pogodzić. Dla obu najbardziej dziś wrogich sobie obozów i przeciwstawnych koncepcji również nieprzyjemna uczuciowo i obca jest tradycja tych, którzy nie ginęli w walkach przegranych, a chcieli im zapobiec, tych, którzy tworzyli dzieje polskiej myśli politycznej,

---

Leży przede mną książka zbyt mało, niestety, znana, a pełna mądrości politycznej i prawdziwego patriotyzmu, „Rzecz o roku 63“ Stanisława Koźmiana, jednego z twórców grupy Stańczyków — rzec można reakcjonistów. W rocznicę powstania styczniowego warto przeczytać parę uwag Koźmiana o społeczeństwie i polityce polskiej i zastanowić się, czy ten reakcjonista ma słuszność i czyje rozumowanie przypomina.

Widząc i szanując w narodzie polskim takie cechy, jak wiara w przyszłość, energia, odwaga i gotowość do poświęceń, Koźmian stwierdza, że zalety te zostają niweczone brakiem umiaru i rozsądku, brakiem poczucia hierarchii celów i zadań, brakiem wytrwałości w pracy. Patriotym polski, to uczucie abstrakcyjne, nie opierające się na żadnych konkretach, nie wiedzące czemu służyć. Stąd tak duża skłonność Polaków do dwóch najdalszych sobie — a właśnie u nas bliskich — stanów psychicznych ,apatii i zniechęcenia z jednej strony — entuzjazmu i szaleństwa z drugiej. Między tymi dwoma stanami balansuje duch polski.

Tak charakteryzuje Koźmian koleje, które formowały nastroje krajowe. „Wiara w obcą pomoc i w Europę sięgała daleko w dzieje Polski. Przed rozbiorem było utartym zdaniem, że obce potencje nie pozwolą nigdy na uszczuplenie Rzeczpospolitej, gdyż potrzebna jest dla Europy... Powtarzano to zdanie w Polsce i na tym przeważnie ograniczała się piecza nad bytem państwa. Po dokonym ostatecznie upadku państwa polskiego, myśl polityczna zwróciła się w stronę obcej pomocy. Legiony polskie, walczące wraz z wojskiem francuskim, przedstawiały wiarę w pomoc Francji. I o cudo! Ta francuska pomoc nadeszła. Dąbrowski przybył z ziemi włoskiej do Polski i częściowo Polska wskrzeszoną została. W 1830-31 r. liczono na obcą pomoc, na pomoc Francji. Po niebacznym zmarnowaniu korzyści, które narodowemu bytowi przyniósł traktat wersalski, do obcej pomocy przez trzydzieści dwa lata na mocy tego traktatu odwoływały się Polska i Hotel Lambert. W 1846 i 1848 r. liczono na obcą pomoc, obcej rewolucji powszechnej — od francuskiej do węgierskiej. To poczucie, to przekonanie było tak żywe i zakorzenione, że gdy nadchodziły do zacisza wiejskiego zagraniczne dzienniki, zamazane przez cenzurę warszawską, cała rodzina z zapartym oddechem nachylona nad zaczernionym ustępem, czekała z gorączkową niecierpliwością, aby za pomocą chemicznych środków stał się czytelny. Kiedy zawierał interpelacje o sprawie polskiej w Izbach francuskich lub angielskich, albo błache choćby wspomnienie o Polsce, wystarczało to na zapas wesołego usposobienia i dobrej nadziei na cały miesiąc dla całej rodziny“. — Na tle tych nastrojów społeczeństwa działały cztery zasadnicze ośrodki polskie Wielopolski, biały, czerwoni i Hotel Lambert. Tak charakteryzuje je Koźmian.

„Hotel Lambert opierał całe swoje istnienie na wierze w obcą pomoc. Nie zdał sobie dostatecznie sprawy z korzyści, jakie osiągnąć można było dla bytu narodowego z reformatorskich dążeń Aleksandra II i zawiązujących się jednocześnie między nim a Napoleonem III związków. Raczej usiłował je rozerwać, niż dopomóc za ich pomocą do przygotowania praktycznego wyjścia z polskich wypadków. Mniemał, bo życzył sobie tego, że układy między Francją a Rosją są tylko początkiem i środkiem do dalszych planów, wtedy kiedy w nich szukać należało istotnego rozwiązania... H. Lambert tak dalece dał się zaślepić, tak zabrnął na raz obranej drodze, że w końcu przywiązywał większą ważność do głosów dzienników francuskich, przychylnych Polsce, których życzliwości sam był początkiem, lub do kazań podczas nabożeństw za Polskę, które sam zamawiał, wreszcie do interpelacji w Izbach angielskich uzyskanych osobistymi stosunkami towarzyskimi gen. Zamoyskiego, niż do instytucji i reform Wielopolskiego — za czym poszło przecenianie pierwszych, lekceważenie drugich przez kraj“. Tak ocenia Koźmian — na innym zresztą miejscu pisząc o jej bezspornych zasługach — rolę polityczną ówczesnej emigracji.

Podobnie ostro ocenia białych, którzy również opierali swoje nadzieje na obcej pomocy, a będąc „opozycją legalną“ i przeciwną przygotowującemu się powstaniu, „ani zrozumieli, ani mieli dość odwagi i siły, aby sobie powiedzieć, że wszystko lepsze niż spisek i jego następstwa, że spiskowi najskuteczniej położyć można koniec, podając rękę Wielopolskiemu. Nie zrozumieli wreszcie biali w ostatniej godzinie, że nie było innego wyjścia, jak szczerze i stanowczo — nie tylko w Radzie Stanu, w radach powiatowych i urzędach—ale w całym życiu publicznym połączenie się ich z systemem Wielopolskiego, że bez tego narażało się kraj na klęskę, którą spisek przygotowywał“. Na zjeździe w czarwcu 1862 r. delegaci białych oświadczyli, że przygotowywać się do powstania nie chcą, bo im sumienie na to nie pozwala, a potępić nie mogą, bo by stracili w kraju całe wzięcie“.

Tak widzi opozycję legalną Koźmian, który sam był z nią związany i tłumaczy jej chwiejność polityczną, wpływem H. Lambert, łudzeniem przez Francję i wreszcie osobą wodza, Andrzeja Zamoyskiego.

Wielopolskiemu zarzuca Koźmian lekceważenie spisku, zbyt brutalny stosunek do konspiratorów, złudzenie, że zadowoli kraj reformami, zbytnie przywiązywanie wagi do opinii białych, za małe do czerwonych — wreszcie nieumiejętne i nietaktowne postępowanie ze społeczeństwem.

Najostrzej potępia przywódcę kospiratorów Mierosławskiego: „Uosabiał stronnictwo demagogiczne, przedstawiał i kierował nim, człowiek jakby zesłany, aby szerzyć zniszczenie, aby zamęt w pojęciach narodu wytwarzać, a klęski jego bytowi zadawać. Postać apokaliptyczna, którego wpływ niezaprzeczony pozostanie zagadkowy zarówno jak zdumiewający. Mierosławski, przedstawiciel i apostoł szału i niedorzeczności, dobrowolnej zatraty, ofiar i poświęceń szkodliwych; w mowie bezrozumny, w czynach zgubny, do zwycięstw bezsilny — a wszelkie szumnie zapowiadający, zwiastun i twórca tak politycznych, jak i wojskowych klęsk, z pogromów wychodzący z nowym zapasem szkód dla narodu, używał przecie znaczenia, wywarł na dwa pokolenia wpływ nie mały, a to dlatego jedynie, że przemawiał jednocześnie do wad i do przesad przymiotów narodowych, do braku wszelkiej miary i równowagi, do braku zatem zmysłu i rozumu politycznego. Mierosławski potęgą bezrozumu działał na społeczeństwo polskie“.

Tyle Koźmian. Pisał to człowiek prawicy, który sam współdziałał z powstaniem i jako jego emisarjusz słyszał w Paryżu zachęty Napoleona—durez, wytrwajcie!

Zostawmy uwagi Koźmiana bez komentarzy i nie bawmy się w niebezpieczne analogie — pora przejść do wniosków.

Byłoby rzeczą niecelową głosić w Polsce pozytywizm, na który dziś nie tylko u nas nie ma miejsca. Ludzkość cała potrzebuje sił ogromnych, aby przebrnąć— nie tracąc nic z tego, co posiada — przez próg epoki atomowej. Tych sił pozytywizm jej nie da. Lepiej niż kiedykolwiek wiemy, co warte jest bohaterstwo i poświęcenie — wiemy, że wartości te uratowały imię człowieka. Nowa epoka nie odejmie sławy poległym bohaterom i każe czcić ich wieczne cnoty, bez których narody wielkie nie istniałyby i nie miałyby nic do powiedzenia jutro. Ale równocześnie nowa epoka każe szanować rozum. Wyklucza lekkomyślność i nieodpowiedzialność. Dlatego właśnie w Polsce należy głosić rozsądek. W narodzie którego nastroje balansują między apatią i obojętnością — a jakimiś nieodpowiedzialnymi, nieopanowanymi odruchami trzeba w sposób nawet brutalny nawoływać do rozwag i spokoju.

Po doświadczeniach ostatnich lat można już chyba sprawiedliwie oceniać naszą przyszłość historyczną. Trzeba wychowywać młodzież na życiorysach Lubeckiego i Wielopolskiego, obok wspomnień o walkach powstańczych, na dziełach Bobrzyńskiego i Kalinki, obok Lelewela i Mochnackiego. Może uda się wreszcie połączyć dwa wielkie nurty, płynące przez dzieje Polski — nurt myśli i czynu. Raz tylko jeden dokonano takiej próby, gdy sto lat temu rewolucjonista Franciszek Smolka wprost z więzienia zaproszony został do współrządzenia krajem. Próba udała się i wiele jej zawdzięcza Małopolska.

Taki moment ,jak dzisiejszy, żąda od wszystkich dobrej woli — wielkiego rozumu i wielkich gestów od rządzących. Społeczeństwo jest zmęczone, zbyt dużo cierpiało, zbyt dużo było załamań i rozczarowań. Poza krzywdą od wroga były krzywdy i inne. Naród tak niezdyscyplinowany, z takim trudem jednoczący się, trzy razy na przestrzeni jednego pokolenia skupił całe swe nadzieje i entuzjazm wokół jednego człowieka. Zawiódł tragicznie Rydz-Śmigły, zawiórł Komendant AK, a dziś po raz trzeci społeczeństwo musi przeżywać gorycz rozczarowania. Jak na jedno pokolenie, to trochę dużo. Trzeba znowu zaczynać od nowa, walczyć z nieufnością i ze zniechęceniem, walczyć z brakiem cierpliwości i odruchomi rozpaczy. I walka ta musi być zwycięska — inaczej zginiemy. Zadania, jakie postawiła nam historia, zastają nas nie gotowych, zaskakują nas w najbardziej nieodpowiednim momencie. A muszą być wykonane. Dlatego trzeba być nawet brutalnym, dlatego iść trzeba przeciw nieodpowiedzialności uczucia — tylko wtedy poeta przyszłości nie będzie mógł pisać o naszych dniach:

Mgła, mgła, mgła,
Cała Warszawa to mgła,
Cała Polska to mgła,
Pyta przechodzeń, przechodnia,
Jak wczoraj, jak dziś, jak co dnia,
Kiedy skończy się mgła?

I usnęła — ...usnęła Warszawa.
Z ludm jak morze głupim i z wodzów tragedią.

Dominik Horodyński.

Umarłe miasto

Nie pytaj z jakiego miasta pochodzę,
bo gdybyś Polskę wzdłuż i wszerz przejechał,
umilknie podróżny spotykany w drodze,
bo tego miasta już na świecie nie ma
i czasem dziwnie mi, że kiedyś było
wśród wzgórz wieżami aż obłoki tnące
i serce księżyca w ulicach bijące.

Wiem o tym sam, nie trzeba mi powtarzać,
że niepodobna wspomnieniami żyć
i w mroku wyjść, gdy sąsiad zaśnie,
a jeśli będzie to bezlistna, błotna noc
szeptać: tam pewnie spadł już pierwszy śnieg
i niebo ściemnia, a pola rozjaśnia.

Nie tylko mnie, nie mnie jednego
szarpie, gdy oprócz słów sposobu nie ma
i ani ciężej, ani lżej od tego,
że inny ktoś być może słuchający
na morskich piaskach cienkonogich ptaków
wspomni, ze słoną od mgieł i wiatrów twarzą,
spokojne domki nad zakrętem rzeki,
gdy nad dachami na zielonych czubach
siadają, lecą, raz po raz kawki gwarzą.

Czy milknąć nagle, kiedy słońce spada
za uwięzione w piaskach rdzawe sosny,
czy oczy przymknąć, gdy do pracy jadę,
jakież tam cienie na trzy krzyże kładą
chmury się rwące tak jak lody wiosną,
jakież tam ziemia rozpacze otwiera,
gdy miasto w mojej pamięci umiera,
kiedy codziennie z kolejki wychodzę.
I pamięć i oczy i serce zwątpiło
— choć tego miasta na świecie nie było,
z takiego miasta właśnie ja pochodzę.

Aleksander Rymkiewicz

W świecie...

STABILIZACJA WE FRANCJI

NOWY premier francuski socjalista Paul Ramadier utworzył rząd koalicyjny, złożony z 9 socjalistów, 5 komunistów, 5 członków PRP, 3 radykałów oraz 3 niezależnych. W składzie rządu—będącego jeszcze jednym wyrazem rozsądnego kompromisu politycznego, nieuchronnego przy równowadze dwóch sprzecznych partii politycznych — zwraca uwagę Bidault, jako minister spraw zagranicznych oraz obsadzenie teki obrony narodowej przez komunistę. O ile stanowisko ministra obrony narodowej przy dzisiejszym układzie stosunków międzynarodowych jest jeśli nie zupełnie zbędne — to w każdym razie mało istotne i nie bardzo rozumiemy, dlaczego właściwie dwie największe partie wiodły o nie spór — o tyle obsadzenie przez Bidaulta teki spraw zagranicznych jest w obliczu rozstrzygania się sprawy Niemiec niezwykle istotne i korzystne dla Francji, a i dla nas również. Bidault, mniej niż Blum, związany jest z brytyjską myślą polityczną, jest bardziej niezależnym, więcej antyniemieckim. Na forum wielkiej czwórki będzie to chyba najlepszy reprezentant interesów Francji, a równocześnie najgorętszy rzecznik osłabienia terytorialnego Rzeszy niemieckiej.

WŁOSKIE ZAKRĘTY

TAK jak Francja — mimo osiągnięcia prawdopodobnie stabilizacji politycznej na dłuższy okres czasu — jest areną ściarania się sił ideowych wewnątrz socjalizmu, przeżywanego obecnie na Zachodzie Europy swe ciężkie dni — tak i Włochy są sceną podobnego procesu. Podczas niedawnego kongresu partii pozostająca pod kierownictwem Nenniego, dotychczasowego min. spraw zagranicznych, a grupą Saragata, przewodniczącego Konstytuanty. Rozłam wynikł na tle różnic w stosunku do partii komunistycznej. Grupa Saragata przeciwna była zbyt ścisłej współpracy z komunistami tak ze względów politycznych, jak ideowych. Saragat wysunął postulat „obrony człowieka przed doktryną" i żądał uwypuklenia w programie i działalności partii pierwiastków etycznych. Saragat utworzył nową partię polityczną; należy jednak zaznaczyć, że zarówno jego sformułowania ideowe, są nader zbliżone do postulatów i opinii najsilniejszej partii włoskiej chrześcijańskiej demokracji, jak i posunięcie jego wzmocniło politycznie tę partię. Nenni podał się do dymisji ze stanowiska min. spraw zagranicznych, motywując to niechęcią stronnictwa jego do podpisania traktatu pokojowego w formie ustalonej przez mocarstwa. Faktyczny powód rezygnacji Nenniego tkwi zapewne w rozgrywkach wewnętrzno-partyjnych. W konsekwencji wydarzeń premier de Gaspari — szef chrześcijańskiej demokracji, zgłosił dymisję swego gabinetu. Prezydent de Nicola powierzył de Gaspari sformułowanie nowego gabinetu, który przypuszczalnie wzmocni siły chrześcijańskiej demokracji i grup pokrewnych, choć tak, jak i rząd poprzedni będzie składał się z tych samych czołowych partji koalicyjnych.

DALSZE KRYZYSY RZĄDOWE

FRANCJA zakończyła swój kryzys rządowy, Włochy desygnowały już nowego premiera. Równocześnie rozwinął się ostry i zasadniczy kryzys w Grecji—tragicznym kraju, który nie może znaleźć spokoju — i w łonie hiszpańskiego rządu emigracyjnego. Kryzys grecki wynikł na tle istotnych różnic w metodach rządzenia między poszczególnymi grupami parlamentarnymi. Wydaje się, iż Tsaldaris — dotychczasowy premier — przegrał swą grę. I w tej chwili widać wyraźnie, jak fatalnie postąpiła EAM, że nie brała udziału w wyborach. Dziś zasiadałaby w parlamencie i miała szanse udziału w decyzjach politycznych, wzmacniając i tak już silną, opozycję przeciw Tsaldarisowi.

List otwarty Walentego Majdańskiego

Pierwszy punkt.

Oto głos kobiecy, wskazujący na „potworny i nieprawdopodobny proces wymierania narodu polskiego." To nie frazes, to niestety nad wyraz smutna wymowa suchych liczb. W ubiegłym roku ubyło nam 150.000 (**Sto pięćdziesiąt tysięcy**) ludzi!!! Gdyby ten proces miał zachować swe nasilenie — za lat 150 nie byłoby w Polsce ani jednego Polaka. I sądzę, że tu jest miejsce na wysunięcie najpoważniejszego chyba argumentu politycznego: przed wojną stosunek ludności Polski do ludności Niemiec przedstawiał się, jak 1:2, dziś wyraża się on liczbami 1:3". (Irena Sendlerowa, „Opiekun Społeczny", Nr 5-6, Warszawa 1946, str. 13).

I jeszcze jeden głos... prasy i statystyk z jesieni 1946 roku, że spośród uczennic szkół warszawskich upija się do nieprzytomności 60% dziewcząt. Tak zapowiadają się przyszłe matki.

Co robić?!... Biję na alarm w tej sprawie od roku, ba! od 1937 roku! Otrzymuję pogróżki, groźby procesów, więzień itd. Nazywają mnie wariatem, fanatykiem. A tymczasem ja tylko przemawiam w imieniu tych dzieci, które idą na rzeź, a odezwać się nie mogą. W imieniu tych w Krotoszynie oraz w imieniu milionów takich dzieci, a w tym w imieniu wszystkich, przeznaczonych i w tym roku na ubój, liczba zaś ich wynosi pół miliona, a może milion. I może spodziewacie się, Czytelnicy, dalej w tym artykule huraganu słów, oskarżeń i td. Nie. Artykuł będzie spokojny.

Nasampierw odpowiedź tym, co zarzucają, że za wiele piszę o zabijaniu dzieci, a za mało o tym, by rodzice mieli środki na utrzymanie dzieci. W specjalnej książce dam odpowiedź na to pełną. Tutaj odpowiedź moja brzmi tak: jeżeli idę ulicą, a widzę, że ktoś kogoś morduje, pierwszym moim obowiązkiem jest nie dopuścić do zbrodni. Pierwszym obowiązkiem narodu w stosunku do jego dzieci — jest nie dopuścić do zabijania dzieci. Inna opieka nad dzieckiem, to w czasach świadomego macierzyństwa — faryzeizm. W nowej konstytucji polskiej musi być powiedziane, że dziecko nienarodzone ma te same prawa do życia, co narodzone; że człowiek nienarodzony ma równe prawa z już urodzonym. Ewolucja demokratyzacji w dziedzinie równości tu znajdzie swój najbardziej humanitarny, najżywotniejszy i najlogiczniejszy finał. Odpowiednio do tego konieczne jest wydanie natychmiastowe prawa zawieszającego odpowiednie artykuły Kodeksu Karnego, dopuszczające dziś w pewnych wyjątkowych razach — zabicie przez lekarza dziecka nienarodzonego. W imieniu tego miliona dzieci polskich, które w bieżącym roku 1947 mają iść na rzeź pod płaszczykiem „wskazań", wynikających z odpowiednich artykułów Polskiego Kodeksu Karnego, zwracam się do Najwyższych Władz Państwa o wydanie odpowiedniego dekretu, a wraz z tym o sądy doraźne w stosunku do każdego, kto odtąd — lekarz, czy nie lekarz — poważy się pod jakimkolwiek pretekstem zabić dziecko nienarodzone w Państwie Polskim, w tym Państwie, które na Ziemiach Odzyskanych ma dziś zaledwie 45 ludzi na kilometr kwadratowy, które stanęło na granicy dalszego upływu krwi (Osmańczyk), które w całości liczy o 13 milionów ludzi mniej niż miało w roku 1939, a które jako jeden z punktów trzyletniego dzieła odbudowy postawiło przecież w ciągu trzech lat dokonać odbudowy biologicznej narodu.

Drugi punkt.

Jednocześnie w imię dobra Państwa i dobrego imienia lekarza polskiego zwracam się do wszystkich lekarzy, pielęgniarek, położnych, służby szpitalnej oraz do wszystkich „zakładów leczniczych z prośbą o natychmiastowe zadeklarowanie — jeszcze przed wyjściem odpowiedniego dekretu państwowego — publicznie, indywidualnie, imiennie, że eliminują ze swej praktyki, z klinik, gabinetów, poradni mordowanie dzieci nienarodzonych — czy to pośrednie (porady, recepty, skierowania, udział w zabijaniu dziecka), czy to bezpośrednie. O to samo upraszam farmaceutów, wydających „lekarstwa" dzieciobójcze. Lekarze polscy, którzy wydali ze swego grona Śniadeckich, Marcinkowskich, Chałubińskich, Czyżewiczów, nie mogą nadal hańbić swego zawodu tolerowaniem szajki zbójów, tuczących się z zabijania milionów niewinnych i bezbronnych dzieci polskich i to w dobie, gdy naród krwawym trudem odbudowuje ze zgliszcz wszystko i gdy dziecko polskie urasta do symbolu jedynej nadziei narodu i Państwa.

Taki plebiscyt wśród lekarzy, pielęgniarek, położnych, zakładów leczniczych i aptek da narodowi jasny przegląd, kto w tych pełnych najwyższej wagi dla Państwa zawodach — zasługuje na miano Polaka i Polski, a kto jest opryszkiem z tytułem doktora medycyny, magistra, położnej itd. Lekarze i personel szpitalny z Krotoszyna i z każdego „Krotoszyna" mają tedy pole do natychmiastowej rehabilitacji.

Trzeci punkt.

Posiadamy organizacje miłosierdzia, a zwłaszcza tak niezmiernie zasłużone, jak Polski Czerwony Krzyż, ostatnio „Caritas" i „Liga Kobiet". Te przede wszystkim organizacje, a z nimi wszystkie organizacje społeczne muszą w trybie doraźnym powołać do życia „sekcje obrony życia dziecka nienarodzonego", tak w swych centralach — aż do najdalszych komórek organizacyjnych i walczyć w nich tak, jak dotychczas walczono o niepodległość — o życie każdego dziecka nienarodzonego. Bo w dobie świadomego macierzyństwa, a więc w naszych czasach, największe niebezpieczeństwo i najgroźniejsze: gdyż tylko niebezpieczeństwo zmasakrowania żywcem — grozi nie komu innemu, tylko przede wszystkim dziecku nienarodzonemu, a w Państwie Polskim — setkom tysięcy takich dzieci co roku, ponieważ tyle zabija się ich co roku bezkarnie w Wolnej Polsce. Wraz z tym ginie co roku setki tysięcy przyszłych pracowników i żołnierzy. Giną milionowe kadry Polski Pracy i Armii Polskiej.

Lecz nie tylko chodzi o dzieci, ale o matki. Czas najwyższy bronić Polkę przed pokusą dzieciobójstwa i przed chronicznym kalectwem, bo jak stwierdzają najwyższe autorytety medyczne światowe i nasze (Czyżewicz), matka-dzieciobójczyni, to kaleka fizycznie, nerwowo i psychicznie. Przyszłym pokoleniom polskim poza tym grozi to, że nieomal każdy Polak będzie miał matkę-zbrodniarkę. Byłaby to dla samopoczucia moralnego narodu, dla jego możliwości wychowawczych, klęska koszmarna.

Czwarty punkt.

Nim przyjdzie lawina reform państwowych, zapewniających te same warunki startu rodzinie wielodzietnej, co dotychczas małodzietnej, musimy dzielić się wszystkim z rodzinami dzietnymi, szczególniej z wielodzietnymi a ubogimi. Dzielić się **wszystkim** — dosłownie! Dzielić się świadomie i dobrowolnie! Jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa! Tylko taka samopomoc odrodzi Kościół. Tylko taka samopomoc zdynamizuje fundament Państwa: rodzinę wielodzietną. Bez takiej samopomocy Kościół w naszych czasach jest trupem, a naród pognojem dla innych, licznych narodów.

Inicjatywa prywatna, na której skrępowanie wielu narzeka, ma zarówno w punkcie drugim, jak trzecim i czwartym powyższych projektów — nieobjęte możliwości działania właśnie w dzisiejszej Polsce, a wskazana w każdym z tych punktów działalność może natychmiast być wykonywana w stu procentach przez każdy szpital, lekarza, pielęgniarkę, akuszerkę, aptekarza. Realizacja zależy od dwu rzeczy: czy dość kochamy Polskę i czy na pewnych terenach doroślismy do wolności.

Walenty Majdański

Po rozmowie z czytelnikami

Nazbierało się dużo odpowiedzi na ankietę ogłoszoną przez redakcję w numerze jubileuszowym, tak dużo, że nie mamy praktycznej możliwości wyzyskania w druku całego materiału. Z tygodnia na tydzień cisną się bowiem nowe problemy, palące, aktualne, wymagające szybkiego omówienia. W teczce redakcyjnej pozostaje w tej chwili duży plik wypowiedzi merytorycznych i uczuciowych, pochwalnych i krytycznych, obszernych maszynopisów i skromnych listów, pisanych niewprawną ręką, stwardniałą w pracy fizycznej. Wszystkie te wypowiedzi są nam jednakowo cenne, wszystkie przechodzą przez uważny filtr redakcji, która odnotowuje sobie każdy postawiony problem. Z żalem natomiast musimy stwierdzić, iż mimo naszych przynagleń nie odezwali się w dyskusji przeciwnicy naszej linii ideowej. Znamy ich przecież z „szeptanej propagandy", którą w nie jednym środowisku szerzą, próbując wokół „Dziś i Jutro" stworzyć atmosferę dla naszej pracy jak najbardziej szkodliwą. Liczyliśmy, że za pośrednictwem ogłoszonej ankiety — damy im możność wystąpienia z otwartą przyłbicą i obustronnego przedyskutowania słuszności przyjętych założeń. Tych wypowiedzi jednak zabrakło, lub może zabrakło argumentów.

Wróćmy jednak do ankiety. Całokształt wypowiedzi dałby się zsumować do trzech zasadniczych zagadnień —

— ogólnego poziomu pisma,

— nie poruszonych dotąd problemów,

— charakterystyki odbiorców.

Krytyka ogólna wytknęła słusznie, że w roku minionym poziom pisma nie był równomierny. Obok numerów ciekawych i pouczających zdarzały się dłużyzny, lub artykuły na tematy zupełnie drugorzędne. Pismo rozwijało się bezplanowo, nieraz dzięki przypadkowemu materiałowi. Tak było. Nie zamierzamy ukrywać naszych braków. I nasza ocena jest pod tym względem raczej krytyczna. Musimy tu jednak w swojej obronie podkreślić, że wydając w listopadzie 1945 roku pierwszy numer naszego pisma, staliśmy wobec sytuacji bez precedensu i poza ogólnymi założeniami — mieliśmy wszystkie zadania dopiero przed sobą. Myśmy na łamach naszego pisma wypracowywali koncepcje niemal jednocześnie z czytelnikami, zy nie lepiej było poczekać, może się kto spyta? Gdyby pismo nie istniało — nie byłoby możliwości skupienia wokół poruszonych problemów dostatecznej ilości umysłów. Dopiero w trakcie pracy pisma skupialiśmy wokół redakcji grono publicystów, pokonując przy tym największe trudności, tak materialne, jak i techniczne. W tym roku startujemy z zamiarem planowego rozwinięcia i uzupełnienia tego materiału, który w poprzednim chaotycznie napływał.

Z wielu wypowiedzi płynie pytanie — czy kiedy zespół „Dziś i Jutro" ogłosi program, zawierający całokształt jego założeń tak politycznych, jak i społecznych. Istotnie, problem syntetycznego programu, który by pozwalał każdemu wejrzeć w całokształt poglądów grupy — jest jednym z najważniejszych. Należy on jednak także do najtrudniejszych. Żyjemy bowiem w epoce, w której dawniej używane pojęcia straciły swoją wartość, musimy tworzyć nowe. Program nie może być dziś wyłożony abstrakcyjnie, bez określenia, kiedy i jakimi środkami ma zostać wykonany. To wszystko zaś są problemy, które społeczeństwo polskie po przebytej rewolucji wewnętrznej dopiero poznaje. Dlatego też w chwili obecnej najmądrzejsze programy wojenne i przedwojenne — brzmią jak puste słowa. Zadania synchronizowania założeń ogólnych z konkretnymi warunkami dzisiejszej rzeczywistości — nie może być dokonane w ciągu krótkiego czasu.

Z wypowiedzi ankiety wynika wreszcie, że zasięg czytelników naszego pisma znacznie się ostatnio powiększył i wymaga przystosowania niektórych działów do tej szerokiej jakli zainteresowań i poziomów. Postaramy się sprostać i temu trudnemu zadaniu.

Reasumując ogólnie—będziemy w bieżącym roku dążyć do uporządkowanego dokonania przeglądu najważniejszych zagadnień światopoglądowych i politycznych, rozpatrywanych przez pryzmat szczególnych warunków polskich. Z drugiej strony będziemy dążyli do przeplatania materiału merytorycznego materiałem popularyzatorskim, by odpowiadać zainteresowaniom wszystkich czytelników. Wzamian — prosimy w dalszym ciągu o listy do redakcji.

Tydzień kulturalny

INSYNUACJE I INTERPOLACJE

PAN r. m. w „Kuźnicy" oburzył się bardzo na recenzję Dobraczyńskiego o książce Brandysa. Twierdzi, że Dobraczyński traktuje utwór „jako autobiograficzną wypowiedź autora", a że bohaterem powieści („Miasto niepokonane") jest „bezideowy tchórz", więc tym samym insynuuje się, iż takim samym bezimiennym tchórzem jest Brandys. Wprawdzie — pisze pan r. m. — Dobraczyński zaznacza, że to tylko „o ile wolno identyfikować Brandysa z jego bohaterem...", to jednak tym niemniej itd.

Otóż — rzecz ciekawa—zwrotu: „o ile wolno identyfikować... itd." nie ma wogóle w recenzji Dobraczyńskiego, natomiast są tam inne zwroty o powieści, jak: „Takie markistowskie", „Bez dogmatu"... Może to miał być negatyw postawy autora...". Więc jakoś niewyraźnie z tą insynuacją. Raczej widzimy tu... intepolację. Że Dobraczyński domagał się od powieści jakiejś postawy ideologicznej, której u Brandysa poza potokiem wielkich słów, znaleźć nie można — to rzecz inna. Tego samego zresztą domagał się niedawno w recenzji od książki swego przyjaciela Stefana Kisielewskiego. Widać ma już manię na tym punkcie, albo się zbytnio przejął wywodami redaktora „Kuźnicy" S. Ziółkowskiego...

Stanowczo nie wiadomo, z której strony jest ta insynuacja. Przypomina nam się sprawa artykułu P. Jasienicy na temat książki Kirchmayera i to wszystko, co inny współpracownik „Kuźnicy", pan Ryszard Matuszewski, z tej recenzji wydedukował. Podobno Jasienica, przeczytawszy recenzję Matuszewskiego ze swojej recenzji, zbladł, padł i tylko cicho szeptał: ja nie chciałem wcale tak myśleć. Ale to naturalnie nie jest żadną insynuacją. Insynuacje popełniają bowiem tylko Dobraczyńscy i Jasienice. To ich monopol. Natomiast pan r. m. i pan R. Matuszewski d o m y ś l a j ą się tylko cudzych myśli. No i czasem „interpolują" teksty osób trzecich.

Pan r. m. i pan R. Matuszewski... Cóż za podobieństwo taktyki! Jaka dobra szkoła! Kto to może być ten pan r. m.? Nie snujmy jednak domysłów. W „Kuźnicy" obrażają się, kiedy się rozszyfrowuje inicjały...

WARSZAWSCY LITERACI

WEDŁUG ostatniego wykazu ZZLP mamy w Warszawie następujących literatów: Bobińską, Boguszewską, Borowego, Borudzką, Brzostowską, Bystronia, Choromańskiego L., Czachowskiego, Czekalskiego, Dąbrowską, Dobraczyńskiego, Dobrowolskiego A. B., Drucką, Dzikowskiego, Furmanika, Germana, Gomulickiego, Grabowską, Guranowskiego, Guttry, Helsztyńskiego, Hertza B., Iwaszkiewcza, Jastrzębiec-Kozłowskiego, Jeżewską, Karskiego, Kołonieckiego, Komornicką-Lemańską, Korneckiego, Kowalską, Kowalskiego J., Kowalskiego W., Krzywoszewskiego, Lewina, Łukasiewicza, Łysakowską, Madeja, Maliszewskiego, Maślińskiego, Melcer, Millera, Morawską, Morozowicz-Szczekowską, Mortona, Ochęduszkę, Pepłowskiego, Podhorskiego-Okołów, Rabską, Rembeka, Rogowicza, Rulikowskiego, Rusinka, Rychlińskiego, Rymkiewicza, Rytarda, Rzymowskiego, Stawara, Stempowskiego S., Strumph-Wojtkiewicza, Szczawieja, Szemplińską-Sobolewską, Szmydtową, Szumilasa, Tuwima, Umińskiego, Wata, Wiecheckiego, Witwickiego, Wolskiego, Wroczyńskiego, Zawieyskiego, Zawodzińskiego, Żabińską, oraz kandydatów: Bahdajna, Bartelskiego, Bratego - Malarczyka, Piórkowskiego, Fiszera, Gładycha, Gorczycką, Iwańską, Kann, Kaltenberga, Kamodzińskiego, Kiersta, Kossobudzkiego, Koźniewskiego, Kruczkowskiego, Nadzina, Ochorowicza, Ostromęckiego, Podkowińskiego, Pytlakowskiego, Radlińską, Sadowskiego, Słotwińskiego, Sojeckiego, Szołdrską, Wasilewską, Zalewskiego.

Coś tutaj nie jest w porządku. Członkiem Związku, według dość formalnej zasady, może być ten, kto napisał dwie przynajmniej książki. Tymczasem na liście członków jest wiele nazwisk najzupełniej nieznanych, albo jeśli znanych, to wyłącznie z publicystyki, lub ze stanowiska w... ministerstwie. Natomiast tylko kandyda-

Stanisław Rembek

Wyrok na Fran-

TEN pierwszy okres wojskowego terroru trwał do czasu przerzucenia armii Blaskowitza na zachód. Potem został w naszym mieście oprócz policji granatowej i podobnie do niej umundurowanych żandarmów, rekrutujących się z folksdojczów, jedynie szczupły garnizon, który stanowiła jedna kompania wartownicza weteranów jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej. Na czele garnizonu stał jej dowódca, kapitan Bunsch. Był to wiedeńczyk już po pięćdziesiątce, z zawodu nauczyciel gimnazjalny. Przyczynił się on w dużej mierze do złagodzenia terroru. Przede wszystkim skończył z samowolnym mordowaniem ludności cywilnej przez żołnierzy, których nie wypuszczał z koszar z bronią, nawet boczną. Chodzili z pustymi żabkami od bagnetów. Następnie zainteresował się podjudzaniami Wintera na „informacyjnych" pogadankach. Dla sprawdzenia jego odkrywczych, a sensacyjnych oskarżeń, wezwał do siebie mianowanego przez władze okupacyjne wiceburmistrza Krygiera, młynarza i mojego dobrego znajomego od dzieciństwa. Krygier, jak olbrzymia większość folksdojczów, uchodził przed wojną za Polaka. W domu mówił tylko po polsku. Zapisał się na folkslistę ze strachu, ale starał się przez całą wojnę o utrzymanie jak najlepszych stosunków ze swymi rodakami. Aż do czasu największego nasilenia terroru w drugiej połowie 1943 roku oddawał wiele usług Polakom, ostrzegając przed łapankami, aresztowaniami, pisząc podania w sprawie jeńców, uwięzionych... Dopiero po likwidacji ghetta zmienił się, jak wszyscy folksdojcze. Rozmowa miała mniej więcej następujący przebieg:

Kapitan Bunsch przyjął Krygiera w swoim gabinecie przy biurku. Wiceburmistrz odrazu zdradzał drżączkę i nadmiar bojaźni, jak każdy Niemiec cywilny na widok wojskowego munduru.

— Co pan kapitan rozkaże?

— Pan jest niemieckim wiceburmistrzem?

— Tak jest.

— Od jak dawna mieszka pan w tutejszym mieście?

— Od urodzenia.

— Był pan tutaj przed wojną?

— Od 1918 roku nie ruszałem się stąd krokiem.

— Był pan tu przed samą wojną?

— Oczywiście.

— I w czasie prześladowania folksdojczów?

— Tak jest, panie kapitanie. Sam byłem aresztowany i popędzony do Brześcia, ale mnie uratowała interwencja burmistrza Korkowskiego, który za mnie zaręczył, że jestem lojalnym obywatelem.

— Ilu oprócz pana było aresztowanych w Brodni?

— Razem ze mną pięciu. Mnie wypuszczono w Warszawie, a reszta wróciła zaraz po wojnie.

— A co pan wie o mordowaniu Niemców przez Polaków.

— Co ja wiem?... Czytałem...

— Nie chodzi o to, co pan czytał. Pytam: ilu Niemców zginęło tu, w Brodni?

— W Brodni? Nie słyszałem, żeby jaki Niemiec w Brodni stracił życie w czasie działań wojennych.

— No, przecie Winter głosi, że przeszło 1400 zostało zamordowanych przez Polaków przed samym wybuchem wojny i w pierwszych jej dniach.

— A, Winter! No, to jest propaganda.

— Dziękuję panu.

Nazajutrz wieczorem na jakimś zebraniu niemieckim kapitan Bunsch nazwał publicznie Wintera koniunkturalną świnią i kłamliwym psem. Następnie wygłosił przemówienie do folksdojczów, którego treść — tak mnie przynajmniej informowano — była mniej więcej następująca:

— Wojna jeszcze trwa. Każda wojna może być wygrana, ale może też być przegrana. W razie przegranej, pamiętajcie, że dla was nie znajdzie się miejsca w Rzeszy. Postępujcie więc tak, żebyście go nie potrzebowali. Starajcie się o przyjazne stosunki z Polakami.

Przemówienie to stanowiło w naszym mieście pewnego rodzaju epokę. Stosunek „folksdojczów" do nas zmienił się krańcowo. Niestety na krótko. Po kapitulacji Francji terror wzmógł się jeszcze i wzmagał się odtąd stale. Kapitan Bunsch zniknął. Mówiono, że zaopiekowało się nim „gestapo". Mówiono też, że dużą rolę odegrał w tym Winter. W każdym bądź razie zapomniał on o swym pohańbieniu i triumfował coraz bardziej. Przypisywano mu też winę aresztowań wśród robotników, z których kilku poniosło powolną śmierć męczeńską w obozach karnych. Ale w żaden sposób nie można by mu było tego dowieść. Jedyne, co można mu było zarzucić z całą pewnością — to pogróżki, ciągłe ,a nieprzytomne łżenie, a nawet czynne znieważanie Polaków oraz wszelkiego rodzaju nadużycia. Jak dowodził należący do naszego kółka właściciel biura próśb i podań, były sekretarz sądu, pan Kubas, wszystkie te przestępstwa nie wystarczały jeszcze według ustaw polskich do skazania na karę śmierci Pomijając to jednak, trzeba stwierdzić, że Winter nie był szczególnie niebezpieczny i szkodliwy. Takich, jak on mieliśmy wówczas setki tysięcy. To też z ukaraniem go można było znakomicie poczekać do końca wojny i uniknęłoby się wtedy niepotrzebnych ofiar i nieszczęść. Ale jest to już cechą wszelkich tajnych organizacji, że działają zbyt gorączkowo i przez to niekoniecznie rozsądnie.

Tak się też stało i w tym wypadku.

Początkowo zachowanie Niemców zaskoczyło nas zupełnie. Podczas pogrzebu pierwsze przemówienie wygłosił pastor z Lemieszowa. Najpierw wyliczył liczne cnoty zmarłego, potem podniósł jego zasługi dla cywilizacji europejskiej wogóle, a dla chrześcijańskiej w szczególności, a na koniec zaczął dowodzić, że zbrodnicza ręka, która zgładziła go ze świata, musiała należeć do wroga Krzyża i wszelkikego porządku społecznego.

Później zabrała głos stara Winterowa. Ogromna tłusta baba, czarno ubrana, z białą chustką, również czarno obramowaną, przy oczach, chrapliwym basem i wśród łkań „żegnała na wieki najlepszego męża i najlepszego ojca", podkreślając jego prawość chrześcijańską oraz niezwykłą dobroć. W końcu zwróciła się, wyciągając ręce przed siebie, do grupki naszych dygnitarzy okupacyjnych, którzy stojąc w sztywnych zadartych czapach przyglądali się wdowisku ze zwykłą Niemcom tępą, niezdarnie robioną powagą, i błagała ich w imieniu nieboszczyka i swoim własnym, aby nie mścili się na zabójcach, a zwłaszcza na mieście, w którym i jej mąż i ona urodzili się, wychowali i które ukochali całym sercem.

Nastąpiły potem przemówienia oficjalne: przedstawiciela partii narodowo-socjalistycznej, wiceburmistrza Krygiera i w końcu samego krajshauptmana . Podkreślił on, że Winter poległ na stanowisku za firera, faterland i za całą cywilizację europejską. Zbrodniarze, którzy go zgładzili z tego świata, nie mogą być przeto Polakami, którzy sami są przecie narodem o kulturze europejskiej i zarazem chrześcijańskim — tylko komunistami, kierowanymi przez Żydów. Ale Niemcy potrafią zrobić z nimi porządek.

Po tych oświadczeniach całe miasto odetchnęło. Niewielu, co prawda, znalazło się naiwnych, którzy by brali poważnie tę niezdarnie wyreżyserowaną komedię, ogólnie jednak rozumiano ją jako jeszcze jeden dowód przynajmniej czasowej zmiany polityki niemieckiej w stosunku do Polaków.

Omawialiśmy tę sprawę, jak zwykle, w restauracji Chomińskiego. Kierownik Rządek, oczywiście, górował nad wszystkimi postawą i swym potężnym basem.

— Zasadą polityki niemieckiej jest, żeby nigdy nie walczyć z dwoma wrogami naraz. Ponieważ obecnie są oni zajęci tępieniem Żydów, więc wszystkie icn usiłowania idą w kierunku pokłócenia z nimi Polaków. Potem z całą pewnością dobiorą się do naszej skóry.

— Co tam kierownik oplata? — przerwał mu burmistrz Korkowski.

Jak to już bodaj wspominałem, był on niskiego wzrcstu i nader wątłej budowy. Wyglądał po prostu przy nim jak mały chłopiec. W dodatku był niezmiernie bojaźliwy, czego dowiódł już we wrześniu 1939 roku podczas pierwszego bombardowania naszego miasta. Wybiegł wtedy z domu i żeby ukryć się przed niemieckimi samolotami, dał nurka w ubraniu do pobliskiego stawu. Mimo to zawsze ośmielał się przeciwstawiać kierownikowi swoim cichym i kwaśnym głosikiem. (Cierpiał biedak na katar żołądka). Co dziwniejsza ten kolos zdawał się z obawą i szacunkiem wysłuchiwać zawsze jego cierpkich uwag. Tym razem również odwrócił się w jego stronę wraz z krzesełkiem, aż się zdawało, że dom się zachwieje.

— Bo co?

— No, bo ghetto już dawno zostało zlikwidowane.

— Tak? A ile jeszcze dziesiątków, jeśli nie setek tysięcy Żydów ukrywa się u Polaków? Ilu ich przecie mordują ciągle w samej Brodni i okolicach?

— No, to właśnie. Skoro Polacy biorą stronę Żydów, to tym bardziej Niemcy powinni mścić się na nich. Ale tu co innego w trawie piszczy. Po prostu dostali w sempiternę od Sowietów i odrazu zmiękła im rura. Zawsze tak ze Szkopami bywa.

— A ja wam mówię, że Niemcom nigdy nie można dowierzać — pokręcił Chomiński swoją wygoloną czaszkąk. — To jest fałszywy naród.

Okazało się, że miał słuszność. W dwa dni potem przyjechało z Warszawy gestapo i zaaresztowało kilkudziesięciu naszych obywateli. Najwięcej było wśród nich robotników z fabryki Wintera, ale oprócz tego uwięzieni zostali: burmistrz Korkowski, sekretarz magistratu Śmietanka, inspektor ubezpieczeń Czereśnicki, kierownik Rządek, sam Chomiński i wreszcie stary Kłos, ojciec Franka.

XII.

A tymczasem Farnciszek Kłos w dalszym ciągu pił i nadal mordował.

Nieraz zastanawiałem się podczas ostatniej wojny nad tym, dlaczego tak wie-

PAPKINADA

W poprzednim numerze naszego pisma wydrukowaliśmy list do redakcji J. Pytlakowskiego, autora książki „Powstanie Mokotowskie". Zgodnie z dobrym obyczajem dziennikarskim wstrzymaliśmy się od równoczesnego ogłoszenia komentarza do tego listu, co czynimy niniejszym:

Dla jaśniejszego obrazu wydrukowaliśmy nadesłany nam list J. Pytlakowskiego, autora książki „Powstanie na Mokotowie". List — jak widzimy — nic nie mówi. Pytlakowski twierdzi, że był wprawdzie przez jakiś czas żołnierzem w powstaniu, ale także przyznaje, że został ze służby wojskowej odkomenderowany do pracy kancelaryjnej w sztabie. Nie musiał być zbyt bitnym żołnierzem, skoro on jeden znalazł się w roli gryzipiórka, gdy reszta jego kolegów dalej walczyła (wzmiankowany kpt. „Janusz" był adiutantem dowódcy, a więc praca jego w sztabie miała zupełnie inny charakter). Co robił Pytlakowski w sztabie? Pisze, że prowadził ewidencję pism. Ciekawe z kim taką ożywioną korespondencję prowadziła odcięta ze wszystkich stron grupa mokotowska, że aż trzeba było dobrego żołnierza Pytlakowskiego do tej roboty odkomenderowywać.

Prawda, że w sztabie mokotowskim była tylko jedna stołówka — zresztą wcale nie lepsza, ale nawet gorsza niż wiele stołówek żołnierskich. Ale też Pytlakowski jadał w niej tylko dlatego, że był sztabowym gryzipiórkiem. Prawda, że żołnierze nie kopali rowów. Ale Pytlakowski przestał być żołnierzem, jak sam pisze, 23 sierpnia 1944 r., zaś ludność cywilna była obowiązana na Mokotowie do pracy z łopatą. Pytlakowski twierdzi, że nie jest kuzynem ppłk. Góry. Coś jednak łączyło Pytlakowskiego z szefem sztabu, skoro ppłk. Góra posyłał specjalnych gońców do mieszkania Pytlakowskiego, by go zachęcić do przyjścia do sztabu i opuszczenia Mokotowa kanałem. Dziwna sytuacja: Mokotów ostrzeliwywany, Pytlakowski siedzi w rodzimej piwnicy, a tu sam szef

ciszka Kłosa (8)

Powieść z roku 1943.

lu ludzi znajduje przyjemność w znęcaniu się nad bliźnimi i w ich zabijaniu. Doszedłem do wniosku, że nie można tego tłómaczyć samym tylko sadyzmem, sadystów bowiem, równie jak innych wszelkiego rodzaju zwyrodnialców, istnieje na świecie jedynie znikoma liczba. Przypuszczam więc, że w zwykłych wypadkach odgrywa tu główną rolę głębokie nasycenie instynktu samozachowawczego, jakieś upajające poczucie wyższości nad mordowanymi oraz złudzenie władzy nad śmiercią. W każdym bądź razie każde morderstwo musi wymagać od mordującego olbrzymiego wysiłku woli i niebyle jakiego napięcia uczuć. Bo niewątpliwie wszyscy żandarmi niemieccy byli ludźmi o instynktach zbrodniczych, inaczej przecie nie zostaliby żandarmami. Wszyscy oni byli zawsze gotowi bić, kopać, znęcać się i zabijać każdego, kogo im wskazano, albo kto w ich mniemaniu wykraczał przeciwko przepisom, wydanym przez ich władze. A jednak, jeśli chodziło o masowe mordowanie bezbronnych, jak to było właśnie w przypadku z Żydami, to tylko nieliczne jednostki zgłaszały się do tej czynności. W czasie likwidacji ghetta warszawskiego władze okupacyjne musiały wyszukiwkać i sprowadzać oprawców litewskich, ukraińskich, łotewskich i Bóg wie jakich. Jeśli nie było wśród nich Polaków, to należy to przypisać potędze naszej opinii publicznej, która wykreślała ze społeczeństwa każdego, kto w jakikolwiek sposób współpracował z Niemcami. Polak o instynktach zbrodniczych miał u nas jedną tylko drogę: zostać folksdojczem.

W Brodni znalazł się jeden tylko żandarm, który wyręczał resztę kolegów w mordowaniu: był to Kranc. Później przyłączył się doń Kłos. Wykonywał on zresztą swoje katowskie czynności wyłącznie po pijanemu. Może więc to tylko strach przed grożącą mu, a niemal nieuniknioną śmiercią oraz nienawiść do społeczeństwa, które skazało go na zagładę, popychały go do takiej obłąkanej zemsty?... A może była to rozpaczliwie bezmyślna idea samoobrony: jeżeli wymorduję wszystkich — zostanę żywy?...

Obaj mordercy trzymali się zawsze razem. Ułatwiała im to okoliczność, że mieszkali blisko siebie, przy tej samej ulicy. Co rano Kranc przychodził po Kłosa, jako po towarzysza o wielce słabej uzbrojonego i pił z nim na miejscu dla dodania sobie odwagi. Potem razem udawali się na posterunek, skąd prawie codziennie wyruszali na swoje wyprawy myśliwskie. Polegały one na wyławianiu i mordowaniu Żydów, których, jak to słusznie zaznaczył kierownik Rządek, wielkie mnóstwo ukrywało się w Brodni, a zwłaszcza w jej okolicach. Były to niemal bez wyjątku jednostki spolszczone i połączone węzłami powinowactwa, przyjaźni czy koleżeństwa z Polakami. Dla tych Żydów, którzy zachowali odrębność języka i stroju, nie było zasadniczo ratunku.

Polowania te ułatwiali Niemcom w pierwszym rzędzie sami Żydzi, dzięki wrodzonej sobie lekkomyślności i ruchliwości. Gdy tylko bowiem otrząsnęli się z grozy swych przeżyć w ghetcie, skąd przeważnie pochodzili, kręcili się wszędzie, wpadając w oczy zgrai szpiegów, folksdojczów i szantażystów. Poza tym nierzadko zdarzały się doniesienia sąsiadów, a zwłaszcza sąsiadek, donosicielkami bowiem były z reguły stare baby. Powodowały się one zazwyczaj zawiścią, powszechnie bowiem wierzono, że przechowujący Żydów, ciągną z nich niezmierne zyski. Mszczono też w ten sposób wszelkie urazy. Były to zresztą porachunki potworne, Niemcy bowiem mordowali oprócz Żyrów również tych, co ich ukrywali.

Taka właśnie historia zdarzyła się na Glinianej, niedaleko przystanku kolejki. Miała tam swoją willę doktorowa Dereżyńska. Doktór Dereżyński zginął był śmiercią męczeńską w Oświęcimiu, doktorowa więc mieszkała tylko z dwudziestoletnią córką, urzędniczką warszawskiego magistratu. Otóż w tym czasie wpłynęło na ręce wiceburmistrza Krygiera pisemne doniesienie sąsiadki pani Kuczberskiej, że doktorowa przetrzymuje u siebie Żydówkę. Krygier zatelefonował natychmiast do Szwutkego, a ten wysłał pod wskazanym adresem wyprawę wraz z nierozłącznymi skazańcami: Krancem i Kłosem. Rzeczywiście zastano tam inżynierową Wohllaufową z Krakowa, prawidłowo zresztą zameldowaną. Kranc chciał obie panie zabrać na posterunek dla przeprowadzenia śledztwa, ale Kłos, który był już całkowicie pijany, oparł się temu gwałtownie i po krótkiej sprzeczce zastrzelił nieszczęśliwe kobiety. Tylko panna Dereżyńska ocalała dzięki temu, że była w tym czasie w swoim biurze w Warszawie.

Kranc złożył o tym meludnek naczelnikowi, śmiejąc się z zawziętości Kłosa, ale Szwutke nie potraktował sprawy z takim humorem.

— Skończyły się wasze świńskie polskie czasy! — wrzeszczał do prężącego się, ale też chwiejącego zarazem Franka. — Teraz rządzi prawo i musi panować porządek. Żadna samowola nie będzie przeze mnie ścierpiana. Pan Kranc kazał te obie kobiety dostarczyć i miałeś dostarczyć ty, polski szczurze! My was, bydlaki, nauczymy jeszcze posłuchu! A teraz poszoł won!

Kłos wyszedł wytrzeźwiony, ale tym bardziej oszołomiony, tylko, że w niezmiernie przykry sposób.

Niestety, jednak nie na tym miała się sprawa skończyć. Okazało się, że inżynierowa Wohllaufowa rzeczywiście nie była zupełnie pochodzenia żydowskiego. Gorzej jeszcze, bo jej mąż miał wielkie wpływy u Niemców, a nawet miał jakieś „chody" do samego generalnego gubernatora „doktora" Francka. Zrobiła się wielka chryja. Podobno nawet gubernator warszawski, Fischer, miał z tego powodu nieprzyjemności. W każdym bądź razie dostało się krajshauptmanowi, aż w końcu wszystko skupiło się na żandarmerii i policji w naszym mieście. Lejtnant Aschel, który sprawował nad nimi zwierzchność z ramienia gestapo, chciał podobno zastrzelić Szwutkego w przystępie szalonego gniewu.

Oczywiście Kłos nic o tym nie wiedział. Aż gdy pewnego ranka przybył, jak zwykle na służbę wraz z nieodłącznym teraz Krancem, zastał na posterunku na przeciw wejścia stojącego komendanta Schwicka, a za nim struchlałych i wyprężonych żandarmów i policjantów.

Schwick widocznie czekał na niego. Sterczał rozkraczony na swych potężnych nogach w błyszczących czerwonych cholewach, pokryte białą szczeciną tłuste pięście wcisnął zajadle w biodra i patrzył złowrogo spod nasuniętych brwi. Oczy miał przekrwione i policzki sino pokratkowane.

— No, ty polski psie! — zaczął wyrzucać słowa, warczące, jak z siłą wypuszczane z procy kamienie. — Ciebie w tej waszej świńskiej policji nie nauczyli, co znaczy befel, ale ja cię wyszkołuję.

Tu rzucił się naprzód ze zwinnością, nieoczekiwaną u człowieka tej tuszy, i obu pięściami wymierzył kolejno dwa ciosy w policzki Kłosa. Ten padł.

— Auf! — wrzasnął wtedy.

Żandarmi zrozumieli natychmiast. Drzwi aresztu stanęły otworem. Oszołomiony i okrwawiony Kłos usiłował się właśnie podnieść z ziemi, gdy Schwick dwoma potężnymi kopniakami wepchnął go do ciemnej komórki, zatrzaskując za nim drzwi.

Wszyscy obecni przyglądali się temu zajściu z uśmiechem pełnym radości. Kranc aż zaświecił swoim złotym zębem.

— Ale pan komendant ma siłę w pięści, jak „Old Shatterhand" z książek Karola Maya.

Schwick ochłonął z gniewu. Ulżyło mu widocznie.

— Na, ja! — roześmiał się beztrosko, ale zaraz spoważniał.

— Pamiętajcie, chłopoki, co wom godołem: do Polaków strzelać nie wolno! A teraz do roboty!

Tu pogroził pięścią Krancowi.

Ten zasalutował z całego serca i wyszedł uszczęśliwiony. Radowało go, jak każdego Niemca, cudze nieszczęście, a oprócz tego był zadowolony, że aczkolwiek jako Niemiec i wskutek tego komendant wyprawy, on sam był głównie odpowiedzialny za mord na Glinianej — nie poniósł jednak za to żadnej odpowiedzialności. Z przyjaźni z Kłosem zrezygnował z tą chwilą, gdy ten popadł w niełaskę. „Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem. Za pan brat świnia z pastuchem" — przypomniał sobie polskie przysłowia.

Tego dnia musiał wraz z pięcioma żandarmami wyjechać kolejką elektryczną do Poręby, gdzie według doniesienia miał się dwa dni temu sprowadzić dziennikarz żydowskiego pochodzenia wraz z żoną i dorosłą córką. Wyprawa udała się tylko w części. Przestrzeżeni o zbliżaniu się oprawców uciekinierzy z ghetta wyskoczyli przez okna do lasu, w którym stała willa. Wśród pościgu żandarmom udało się zastrzelić obie kobiety, ale sam dziennikarz zniknął bez śladu.

Było to w końcu sierpnia czy na początku września. Pomimo to panował taki upał, że, jak to mówią, żar się lał z nieba na ziemię. Długi peron stacyjki był zatłoczony. Poręba bowiem, jedno z najmłodszych i zarazem najpiękniejszych osiedli letniskowych podwarszawskich, jest ulubionym celem wycieczek niedzielnych i świątecznych. Kolejka w stronę Brodni miała odejść dopiero za trzy kwadranse. Żandarmi stali więc w szeregu rozglądając się na kobiety, ubrane w lekkie, różnobarwne sukienki, obute na przyboś w wysokie koturny. Kranc podszedł do ławki, na której siedziały starsze panie, zatopione w c chej rozmowie.

— Alles raus!

Ławka w mig opustoszała, Kranc rozłożył się na niej i kiwnął z łaskawym uśmiechem na kobiety, które ją opuściły.

— Można już siadać.

Żadna nie skorzystała z zaproszenia.

W tej chwili podszedł doń bosy i oberwany chłopiec, może dwunastoletni.

(D. c. n.)

---

sztabu grupy przysyła gońca po żołnierza z grupy „Granat"!

Twierdzimy dalej, że Pytlakowski podsłuchiwał pod drzwiami, bo tylko podsłuchując mógł znać treść rozmów, prowadzonych w cztery oczy. Gdzie nie podsłuchał, tam kłamie. Kłamliwym jest opis badania jeńców niemieckich, kłamliwy opis pertraktacji z Węgrami.

Czy mamy napisać jak było naprawdę?

„CARITAS AKADEMICA"

prosi wszystkich rozumiejących i miłujących młodzież akademicką, o przyjście nam z pomocą w urządzeniu zabawy tanecznej, połączonej z loterią fantową

Musimy zasilić nasze fundusze, prowadzimy bowiem internat dla akademiczek przy ul. Żytniej 3, stołówkę przy kościele św. Anny, bierzemy udział w remoncie internatu na ul. Ks. Siemca 2 oraz pragniemy rozszerzyć akcję obozową.

W najbliższym tygodniu akademicy z torbami i woreczkami pójdą zbierać fanty i produkty, mogące być zużyte przy urządzeniu bufetu.

Prosimy serdecznie wyjść naprzeciw nam ze szczodrym sercem. Niechaj ci, co będą obchodzili sklepy, biura, instytucje i domy prywatne, nie spotkają się z odmową.

Chcemy zacieśnić łączność społeczeństwa z młodzieżą akademicką, dlatego zapraszamy przyjaciół wszelkiego wieku o przyjście i bawienie się z nami.

A więc spotykamy się!

16 LUTEGO W DOMU AKADEMICKIM, PL. NARUTOWICZA 5

GODZINA 15 — 22.

Wszelkie ofiary prosimy składać:

1. Na ręce wysłanników, posiadających upoważnienia, które należy sprawdzać.

2. W lokalu Caritas Academica, Krakowskie Przedmieście 68, między 11—13.

3. Na furcie seminarium Krak. Przedm. 52. na ręce ks. prof. Jakubca.

Tydzień kulturalny

tem jest Koźniewski, pomimo dwóch wydanych, a trzech napisanych książek, kandydatami Bratny i M. Kann, kandydatką J. Wasilewska. Nie jest wogóle członkiem Wł. J. Grabski! Nie jest członkiem M. Buyno-Arctowa!

Czyżby liczba członków oddziału warszawskiego musiała być ściśle ograniczona, niby liczba członków Akademii?

ŚMIERĆ CZ. KĘDZIERSKIEGO

W POZNANIU zmarł 16 stycznia Czesław Kędzierski. Jeden z najbardziej zasłużonych publicystów i dziennikarzy polskich był także — o czym nie wszyscy wiedzieli! — cenionym autorem książek dla dzieci. Ostatnio ukazały się nakładem Z. Gustowskiego „Bajki" Andersena w przekładzie i z ładnym wstępem Kędzierskiego.

POWIEŚĆ J. PUTRAMENTA

„CZYTELNIK" wydał i usilnie reklamuje pierwszą powieść Jerzego Putramenta „Rzeczywistość". Że Putrament okazał się lepszym prozaikiem niż poetą, przekonaliśmy się o tym po doskonałych opowiadaniach, zawartych w zbiorku „Święta Kulo" (słabe są tylko dwa pierwsze, bardzo „młodociane" opowiadania). Na „Rzeczywistość" czekamy z zaciekawieniem.

KRYZYS W LITERATURZE POLSKIEJ?

W OSTATNIM „Odrodzeniu" mówi się o zjawisku, które grozić zaczyna naszemu życiu literackiemu: na ogół wszystkie ocalałe w czasie wojny rękopisy są już wydane. Natomiast nie ma rzeczy nowych i nic nie zapowiada, abyśmy mieli zapoznać się niedługo z książkami, napisanymi już po wojnie.

W uwagach tych jest wiele prawdy. Wprawdzie znamy szereg cennych utworów, które dotychczas nie zostały wydane — że zacytujemy tu kilka książek Stanisława Rembeka, zakończenie trylogii i nowele Władysława Grabskiego, powieść historyczną A. Gołubiewa, powieść historyczną J. Kędzory, powieść chłopską Romana Tomczyka, powieść W. Dunarowskiego... Wiemy także, że pisze się rzeczy nowe, że pracują i przygotowują do druku J. Stępowski (powieść historyczną), W. J. Grabski (powieść współczesną— dalszy ciąg w „W cieniu kolegiaty"), W. Żukrowski (powieść na tle walk A. K.), J. Dobraczyński (nowele), Z. Kossak (powieść z czasów starożytnego Egiptu)... Mimo to, są to rzeczywiście wyniki raczej niewielkie. Nie zapowiadają one „wielkiej fali" literackiej.

Lecz czyja wina? Czy pisarze-literaci mają dostateczne warunki materialne, aby tworzyć? Gdzie są domy literatów, przydziały dla literatów Czy komu przychodzi do głowy, że pisarz, który żyje z pióra, m u s i m i e ć z a s w ą p r a c ę w i ę c e j, n i ż w y n o s i k o s z t t r u d n e j i t w a r d e j e g z y s t e n c j i w o k r e s i e p i s a n i a?

Niestety — tylko my i „Odrodzenie" piszemy o tym...

NARESZCIE!

TAK doniosły pisma codzienne dziesięć matek licznego potomstwa zostało odznaczonych przez Prezydium KRN złotymi Krzyżami Zasługi. Doskonale! Oczekujemy, że po Krzyżach przyjdą — wyprawki dla dzieci oraz odpowiednie powiększenia płac dla ojców. I może w końcu — caeterum censeo — ktoś się zajmie publicystyką L. Szczepańskiego i Z. Ślączkowej z Krakowa.

STUDIUM KONRADA GÓRSKIEGO

KONRAD Górski, autor m. in. wydanego na parę lat przed wojną studium o Mauriaku, wydał obecnie ciekawą i głęboką książkę p. t. „Poezja jako wyraz" (nakładem Księgarni Naukowej T. Szczęsnego i S-ka w Toruniu). Książka poświęcona prof. J. Kleinerowi, jest próbą nakreślenia teorii poezji.

Najciekawsza książka 1946 ROKU

Termin odpowiedzi na ankietę

31 stycznia 1947 r.

Jan Dobraczyński

Pierwsza polska powieść o morzu

Znana jest wśród historyków teza Wojciecha Kętrzyńskiego (dziadka), że „koronowanie" Bolesława Chrobrego przez Ottona III w Gnieźnie było nie tylko aktem uniezależniającym słowiańskiego władcę od cesarstwa, ale także formalnym przekazaniem mu następstwa na tronie cesarskim. Było to zupełnie zrozumiałe: Otton III, trawiony chorobą, bezdzietny, marzący tylko o życiu zakonnym, rozglądał się za człowiekiem, który mógł by być jego następcą, Bolesław natomiast był władcą tak wielkiej miary, indywidualnością tak nieprzeciętną, że próżno było podobnego mu szukać wśród współczesnych.

Teza Kętrzyńskiego, choć bardzo prawdopodobna, jest tylko tezą. Natomiast znaczenie Bolesława jest faktem niewątpliwym. I gdy się znaczeniu pierwszych historycznych Piastów i Polski tego okresu uważnie zaczniemy przyglądać, musimy przyznać, że znaczenie to wyrasta przede wszystkim z właściwie skierowanego — a, niestety, tak szybko potem zarzuconego — kierunku polskiej ekspansji. Bolesław podejmuje pierwszy na wielką skalę rozgrywkę z Niemcami. A podejmując ją, kieruje swą uwagę na dwa punkty węzłowe germańsko-słowiańskiego frontu: na Czechy i na Bałtyk.

Cesarstwo wbijało się w Słowiańszczyznę klinem. Pomorze obsadzone przez najbardziej bitne plemiona, opierało się wciąż naporowi od zachodu. Słowiańszczyzna ciągnęła się tu pasem po ujście Łaby i dalej w głąb lüneburskiej „heidy". Książęta Askańscy, zanim stali się książętami brandenburskimi, mieli już na sumieniu krew Czerwonych Obotrytów.

Ten, kto miał w ręku Bałtyk, ten decydował o losie nadmorskich plemion. W dwa wieki potem Niemcy panują już na Bałtyku. Na grobach Słowian nadbałtyckich wyrasta Hanza. Ale w okresie Bolesława Bałtyk nie należy do Niemiec. Panują na nim Normanowie. Ale czy tylko Normanowie?

Rzecz ciekawa: Normanowie w tym czasie wykazują niebywałą ruchliwość. Wdzierają się raz po raz na kontynent europejski, grożą Anglii, Francji, Italii, podbijają Rosję. Tymczasem właśnie na pobrzeżu zachodnio-słowiańskim — na pobrzeżu im najbliższym — od ujścia Wisły do ujścia Łaby, wiemy tylko o jednym miejscu osiedlenia się rycerzy normandzkich — o Jomsborgu — i to wiemy także ,że forteca jomsborska była uzależniona od polskiego władcy. W okresie największej ekspansji Normanów tylko brzeg pozostający pod opieką księcia, a potem króla polskiego, jest wolny od ich najazdów, a przeciwnie ich wypady jakby z konieczności kieruje się ku dalszym wybrzeżom.

Zdaje się to mówić o jednym: o tym, że Bolesław, prowadząc wielką politykę antyniemiecką, dostatecznie pilną uwagę miał skierowaną na brzeg morski. Naśladować go jeszcze będą Bolesław Śmiały, Bolesław Krzywousty, Przemysław II (a może raczej jego nauczyciel i opiekun Bolesław Pobożny?).

Te uwagi, tak bardzo wiążące się z chwilą dzisiejszą, stawia przed nami książka Grabskiego*). Niestety, specyficzne warunki wydawnicze, które uniemożliwiają wydanie od razu trzytomowej powieści, nie pozwalają nam ogarnąć całości dostatecznie jesnym spojrzeniem. W Grabskim jest jednocześnie artysta, historyk i publicysta. Te trzy skłonności uwydatniają się w książce. Mówiąc o pierwszym tomie trylogii, zrobiłem zarzut, że element historyczny przytłacza stronę artystyczną. Czytając tom drugi, doszedłem do przekonania, iż jest to spostrzeżenie niezupełnie właściwe. Strona artystyczna utworu odsłania się wyraźniej w miarę wczytywania się w powieść, stapia się w pełniejszą całość z tezami historyczno - publicystycznymi. Pierwszy tom był rzeczywiście historią przeładowany. Drugi tom wyrównuje tę jednostronność. W pierwszym tomie postać Bronisza wydawała się nieco papierowa. W drugim — nabiera ona życia i rozmachu.

Niewątpliwie połączenie zawierającej problem i tezę powieści historycznej z dostatecznie wyraźnie wycieniowaną prawdą postaci bohaterów jest zadaniem bardzo trudnym, prawie nad siły. Osobiście — na podstawie dwóch przeczytanych tomów — odnoszę wrażenie, że Grabski z całą świadomością wyrzekł się zbyt daleko idącej analizy psychologicznej swoich bohaterów. Że nie jest mu ona obcą, dość przypomnieć sobie drukowane przed wojną powieści współczesne. Tutaj jednak pochłonął go w całości ogrom zadania ukazania rzeczywistości, ku której Polska „szła" na przełomie X i XI wieku. Do pracy przygotował się znakomicie. Już Stanisław Piasecki, omawiając w 1937 r. powieść „Na krawędzi", zwrócił uwagę na tę solidność talentu Grabskiego. W Grabskim nie ma nic z pozy, z dyletanctwa, z ugania się za tanią sensacją. Jego utwory nie mają nigdy charakteru „bomby". Wartość powieści Grabskiego ocenia się nie na podstawie krótkiego efektu. W Polsce było wiele powieści, które błysnęły jak meteor, wywołały żywe poruszenie — lecz już w rok po ich ukazaniu nikt ich nie chciał czytać. Książki Grabskiego mają stale rosnący krąg czytelników, stają się niezbędnymi pozycjami bibliotek prywatnych czy publicznych.

Nie znaczy to jednak wcale, aby ludzie „Sagi" byli ludźmi bez oblicza. Można np. dyskutować nad słusznością takiego właśnie oblicza Sygrydy — ale nie można nie przyznać, że autor w krótkich, mocnych sztychach stworzył postać pełną życia. Tak jest zresztą z szeregiem innych bohaterów.

Nie to jest jednak zasadniczym tematem, który pasjonuje autora, a po pewnym czasie „wciąga" i czytelnika. Grabski pokazuje nam początek wieku XI nie tyle od strony ludu, ile od strony kipiącego nurtu historii. Jeden z najbardziej fascynujących momentów naszych dziejów, pojawia się przed naszymi oczyma, w całej okazałości. Nie chodzi tu zresztą tylko o wydarzenia historyczne; mamy tu także prawdę obyczajową, mamy wspaniałe opisy ostrej, surowej przyrody, mamy na koniec Bałtyk w całej właściwej mu urodzie, szary, chłodny, skuty po brzegach lodem, zwałniony wewnętrznym niepokojem, pruty czubami wąskich, normandzkich łodzi.

Bo powieść Grabskiego jest przede wszystkim powieścią o morzu, pierwszą polską powieścią marynistyczną. Rzecz szczególna — dziś w chwili, gdy morze poczyna nas interesować coraz więcej, powieść o morzu nie znalazła właściwie żadnego echa w krytyce literackiej (co nie znaczy, że nie poznali się na niej czytelnicy — pierwszy tom jest całkowicie wyczerpany). Więcej się mówiło o niesmacznym reportażu jakiegoś Pytlakowskiego, więcej o przestylizowanej i naiwnie tendencyjnej powieści Brezy — niż o powieściach Grabskiego. Książka została niedoceniona przez pisma zajmujące się specjalnie sprawą ziem odzyskanych; została także niedoceniona przez pisma katolickie.

Grabski jest pisarzem katolickim. Jego wypowiedzi są jasne i niedwuznaczne. W trylogii „Bracia — Kłamstwo — Na krawędzi", w Sadze o Jarlu Broniszu, w powieści „W cieniu kolegiaty" — w każdej ze swych książek przemawia do czytelnika pisarz, pełen gorącej wiary, mocnego przekonania, a także mistycyzmu. Katolicyzm Grabskiego — dzięki temu mistycyzmowi — jest nieco inny, niż, dajmy na to, katolicyzm Żukrowskiego. Grabski mniej się interesuje przejawami katolicyzmu w życiu poszczególnego człowieka. Dla niego katolicyzm jest przede wszystkim interesujący, jako wielkie dzieło woli Bożej w historii ludzkiej. Gestae Dei... Ale nie „per Francos", ale przez Słowian, przez Polaków...

W posusze małych spraw i małych ludzi, w potopie książek, które chcą ukazać jakieś splątane, zbrodnicze konflikty, u podłoża historycznych dni narodu, gdy mierzy się dzieje tak jeszcze niedawne miarą groteskowo-tragicznych marionetek — dobrze jest spojrzeć na wielkie czasy wielkiej historii oczyma Grabskiego i zamyśleć się chwilę nad wiecznie tajemniczą ideą wybrania narodu...

Jan Dobraczyński

*) Władysław Jan Grabski. Sagi o Jarlu Broniszu część druga „Śladem wikingów". Wielkop. Księgarnia Wydawnicza. Poznań 1946.

Kazimierz Koźniewski

Katolik zawieruszony w wojnie

O ile dalsze okresy wojny: walki polskich żołnierzy zagranicą, walki podziemne, cierpienia obozowe są już dość obficie reprezentowane w prozie polskiej, o tyle pierwszy miesiąc — „polski wrzesień" pozostaje pod tym względem znacznie w tyle. Dwie znakomite nowele Żukrowskiego, ciekawa nowela Putramenta („Ten i tamten brzeg mostu"), powieść Szemplińskiej, wspomnienia Petersowej, początkowe fragmenty książki Brandysa o wojennej Warszawie, — do niedawna to byłoby chyba wszystko. Obecnie, w świątecznym okresie, doszła do tego jeszcze jedna pozycja: Dobraczyńskiego Jana — „Szata godowa"*).

Na końcu książki widnieje data ukończenia pisania: 16 maj 1940 r., a więc w kontekście innych książek Dobraczyńskiego jest wcześniejszą od „W rozwalonym domu" i „Najeźdźców", późniejszą natomiast od „Dwóch stosów", do tego pisana w okresie, gdy wydarzenia wojenne nie stworzyły jeszcze dostatecznej perspektywy na sprawę polskiego września. Równo głodny, był zdecydowanie niekorzystnym do wszelkiej pracy umysłowej, tym bardziej pracy artystycznej. To wszystko wyjaśniałoby może czytelnikom — dlaczego „Szata godowa" jest pozbawiona tych zalet pióra Dobraczyńskiego, które tak znakomicie błysnęły w „Rozwalonym domu" i „Najeźdźcach" — a głównie zalety — by odrazu uderzyć w medias res-narracji, gdyż w swych innych powieściach Dobraczyński jest przede wszystkim narratorem.

O ile „W rozwalonym domu" czyta się jednym tchem, o ile „Najeźdźcy" są doskonale zbudowaną powieścią, która sama niejako „podchodzi" pod czytelnika (zaleta niezwykle ważna, a tak rzadka u polskich pisarzy, którzy zmuszają czytelnika do mocowania się ze swoim utworem!) — o tyle „Szata godowa" jest klasycznym przykładem książki, której lekturę można w każdej chwili przerwać, jaka w swej fabularnej treści nie ma nic zaciekawiającego, nic epatującego. Dobraczyński w podtytule książki umieścił określenie jej gatunku, jako „powieści". Czytając ostatnie strony specjalnie zwróciłem uwagę na to, jak autor określił swe dzieło. Nie przypadkiem w tym wszystkim, co powyżej napisałem, używałem tylko słowa „książka". Wydaje mi się bowiem, iż określenie „powieść" w najmniejszym stopniu nie pasuje do „Szaty godowej". Teorie literatury nader precyzyjnie rozróżniają rodzaje literackie. Odróżniają powieść, nowelę, opowieść, gawędę, biografię, reportaż, powieść historyczną, a nawet bardzo nowoczesne, nie mające jeszcze swego dokładnego polskiego odpowiednika — „vie romancée". Pod „powieścią" popularnie rozumiemy akcję do pewnego stopnia wyimaginowaną, z zasadniczo fikcyjnymi bohaterami, której ekspozycja i finał zamykają pewien fabularny całokształt.

Tego wszystkiego brak jest „Szacie godowej". Nie leżało to zresztą, wydaje się, w intencjach autora. A umieszczenie przez niego wyjaśnienia „powieść" należy uważać li tylko za pewien konwencjonalny, mimowolny gest.

Treścią „Szaty godowej" są dzieje „wrześniowej" wędrówki — nie walki, ale właśnie wędrówki — oficera kawalerii, który zaraz w pierwszym dniu wojny zagubił swój oddział i który w poszukiwaniu pułku obija się od jednej formacji wojskowej do drugiej, wędruje spod Radomia, przez Warszawę, Lublin, aż gdzieś na Hrubieszów, próbuje fragmentarycznie walczyć w jakichś resztkowych oddziałach, zostaje w potyczkach ranny, nakoniec, już jesienią późniejszą, wraca spowrotem do rodzinnej Warszawy.

„Wrzesień" miał dwa oblicza: — Jedno wyjątkowe, zaciekłe, bohaterskie, wspaniałe — reprezentowane przez długotrwałe obrony takich ośrodków zamkniętych, jak Westerplatte, Gdynia, Modlin, Warszawa — gdzie rządziły zupełnie inne prawa i obyczaje niż poza nimi. I drugie — ponure oblicze elementarnej klęski militarnej: chaos, dezorganizacja, bałagan, zagubienie, bezsensowność i bezcelowość, rozpacz, — jednym słowem to wszystko, co stało sie w mniejszym lub większym stopniu udziałem rozbitych w pierwszych dniach walki oddziałów wojskowych, przemieszanych po szosach i drogach z tłumami uchodźców cywilnych, w panice opuszczających swe domy. Chaosem i beznadziejnością, kiedy walki poszczególnych oddziałów podobne były szamotaniu się ryby złapanej w mocną sieć — objęta była, poza paru redutami, cała Polska. Wszystkie szosy i drogi, pola i lasy, miasta, miasteczka i wsie.

„Szata godowa" w swej treści fabularnej jest właśnie kroniką owej beznadziejności, owego małosensownego, rozpaczliwego szamotania się ludzi zawieruszonych w jakiejś mgle wydarzeń wojennych, która nie pozwala im nic widzieć i nic wiedzieć z tego, co działo się poza parometrowym nieledwie kręgiem.

Swego czasu, parę lat przed wojną, młody pisarz Zbigniew Uniłowski wydał książkę nazwaną „Pamiętnikiem nudy". Książka ta denerwowała z początku czytelnika, by później jednak wciągnąć, nawet rozciekawić w sobie, jako w pewnego rodzaju majstersztyku, polegającym na artystycznym anatomizowaniu zjawiska nudy. I książka była **nudna**, ale bardziej wyrafinowany czytelnik nie mógł się od niej oderwać.

Podobnie jest sprawa z „Szatą godową". Książka ta denerwuje czytelnika pierwszych parudziesięciu stron swoją beznadziejnością, swoją bezplanowością. Oto autor szereguje pokolei, bez żadnego wyboru, to wszystko, co każdy oficer i żołnierz z rozbitych oddziałów wtedy przeżywał. Doznania to były pospolite i banalne. Później dopiero w miarę czytania dalszych kartek — zaczynamy rozumieć, iż dając nam, czytelnikom, książkę zasadniczo nieciekawą, potrafił Dobraczyński należycie uchwycić i utrwalić atmosferę owej „wrześniowej beznadziejności". Dokazał może tego tym wierniej—samemu sobie nawet ułatwiając pisarskie zadanie—że opisuje tylko fakty prawdziwe, używa nazw i dat autentycznych, podaje wszystkie zasadnicze postacie swej wędrówki (prócz bohatera Adama!) i swych niewielkich bojów z prawdziwymi nazwiskami. Pod tym względem „Szata godowa" jest kroniką klęski wrześniowej.

*) Jan Dobraczyński: „Szata godowa", powieść. Wyd. „Zdzisława Gustowskiego w Poznaniu", 1947. Str. 224.

ZAGADNIENIA I POGLĄDY

Ze zdumieniem zauważyłem, że „Kuźnica" — jak dotychczas pismo, można powiedzieć, zasadnicze — przechodzi na rodzaj żartobliwy i to w dodatku w stylu „Szpilek", czyli dowcipy niesmaczne, ale za to niezabawne. Trudniący się przeglądem pracy pan ph, zupełnie poważnie pisze w Nr 4 pisma, że „Dziś i Jutro" ma większe możliwości finansowe od „Kuźnicy".

Nie wiadomo, czy się śmiać — czy co?

Właściwie na tego rodzaju kawały nie powinno się odpowiadać — niestety notatka poza widoczną treścią humorystyczną, sformułowana jest w sposób złośliwie sugerujący, że wspiera nas finansowo „Czytelnik". Bardzo zabawne, że ta sama plotka jest uporczywie kolportowana przez czynniki zdawałoby się najdalsze grupie marksistów łódzkich. Czyżby jakie tajne nici łączyły redakcję „Kuźnicy" z nielegalną opozycją? Jeżeli nie — to notatka odda nam niejaką przysługę, mechanizując opinię opozycyjną, czytającą w większości „Kuźnicę" na odwrót i w ten sposób przynajmniej jedni się uspokoją.

Poważnie mówiąc, takich dowcipów nie należy robić. Dlatego zwracamy się do „Czytelnika", aby zechciał ublicznie wyjaśnić redakcji „Kuźnicy", że — pomimo naszych usilnych próśb — żadnych pomocy ani ułatwień finansowych naszemu pismu nie czyni, ani nigdy nie czynił, a co gorzej zapewnia, że tego stanowiska w przyszłości nie zmieni.

Za co wydajemy nasze pismo? — Qui lo sa? — jak mówią Hiszpanie. Nie wiedzą tego w każdym razie i ki autorzy, nie wypłacani od kilku miesięcy, ani nie wypłacana redakcja — ba, nawet goniec nie wie.

W tym samym przeglądzie prasy pan ph zdradza wyraźne objawy manii prześladowczej. Czytamy: „gdy jednak w ubiegłym tygodniu przejrzałem, jak zwykle, prasę, spostrzegłem, że to, co mi się wydawało szaleństwem (to jest polemika z „Kuźnicą" — uwaga moja), stało się w okresie przedwyborczym metodą. Jakże bowiem inaczej nazwać wypady pisma dla wszystkich, notatki w „Tygodniku Warszawskim" itd.

Metoda ta polega w tej chwili nie tylko na atakowaniu „Kuźnicy", lecz na próbach forsowania frontu lewicy intelektualnej w Polsce".

„Dziś i Jutro" jest też przez pana wszeregowane w ten szturmujący wachlarz.

Jak dotychczas wydawało się nam, że jesteśmy tym pismem niemarksistowskim w Polsce, które stara się z możliwą życzliwością, szukać prób dyskusji i wymiany poglądów z obozem przeciwnym. Trudności materialne bardzo nam te wysiłki utrudniają, ale mimo, że pan ph polemikę z „Kuźnicą" określa mianem szaleństwa, mamy niebezpieczny zamiar iść dalej tą niełatwą drogą.

Czy Pan naprawdę myśli, że organizowaliśmy groźny front do walki z wyborami?

Panie ph, kochany Panie ph — co się panu stało? Jeśli pańskie podejrzenia podzielają i inni członkowie redakcji „Kuźnicy" — czego, niestety ,sądząc z tonu ostatniego numeru, można się obawiać — nie pozostaje nam nic innego, jak stwierdzić z życzliwym ubolewaniem: Panowie macie uraz, trzeba się leczyć!

dh

Kroniką, która bardzo trafnie, utrwaliła atmosferę tamtego czasu. Wydaje mi się iż trafniej niż znakomite skądinąd nowele Żukrowskiego, w którego ponury i szary w istocie wrzesień ma zbyt może dużo kawaleryjskiej barwności.

Szarzyzna, ponurość, chaos, beznadziejność — to elementy wrześniowego opisu Dobraczyńskiego. Do tych elementów należałoby dorzucić jeszcze jeden — trochę żenujący dla Dobraczyńskiego-publicysty, ale dopuszczalny u autora chcącego zachować ów koloryt lokalny i zrozumiałego u człowieka, który „wrzesień" sądził z tak krótkiej — dziś już wiemy — krótkiej perspektywy maja 1940. Chodzi mi o wypowiedzi porucznika Adama, które bym nazwał „wrześniową drogową publicystyką", na gorąco oceniającą katastrofę. Zachowanie naiwności tej „publicystyki" — to też jeden z elementów zachowania owego — jak się rzekło—kolorytu lokalnego czasów wrześniowych.

Na marginesie tej strony książki Dobraczyńskiego warto zwrócić uwagę na jedyne momenty o pełnej wartości artystycznej. Na opisy bitew, pod Lublinem i pod Niemirówką. Są to zarodki (jak wiemy doczekały się one pąków) — które z czasem rozwiną w pewien kunszt narracyjny i które już wtedy zadatkowały w Dobraczyńskim pisarza szczególnie sprawnego w batalistycznych opisach.

„Szata godowa" to jednak nie tylko kronika września. To coś więcej. Coś — dla czego książka (nie powieść!) została napisana i co dopiero przydaje jej istotny sens.

Bohater powieści porucznik Adam jest wierzącym, praktykującym katolikiem, jest działaczem katolickim, jest — jak wynika z określeń i rozmyślań — nakoniec nawet i katolickim pisarzem. To ostatnie sprecyzowanie — abstrahując już od wiadomości, które nie wynikają z samego tekstu książki — pozwala nam przypuszczać w Adamie samego autora. Każde wydarzenie, jakie przechodzi on w ciągu „września", każdy nieledwie kilometr inferalnej wędrówki—budzi w działaczu i myślicielu katolickim szereg rozważań, wątpliwości, wniosków, będących bardzo namiętną i głęboką rozmową konfrontacją prawd wiary, hodowanych latami we własnym sercu i własnym mózgu — z rozwijającym się makabrycznym tokiem światowych wydarzeń. Nie jestem tego pewien, ale mam wrażenie, iż do tej pory nasza współczesna literatura nie miała książki, która by tak ściśle zespalała aktualne wydarzenia z refleksjami wierzącego katolika. Gdy inni pisarze — tak zwani pisarze katoliccy — kierowali losami swych bohaterów według pewnych reguł swego światopoglądu, gdy w myśl swej moralności wydawali o nich takie, czy inne wyroki, to w „Szacie godowej" po raz pierwszy w tak intensywnym stopniu nastąpiła rozumowa, myślowa — a nie odruchowa, uczynkowa — konfrontacja życia i wiary. Pod tym względem książka ta jest w możliwie najpełniejszym stopniu książką katolicką.

Oczywiście tego rodzaju nieustanne operacje rozumowe, rachunki sumienia, jakie już to sam ze sobą, już to z paru innymi osobami przeprowadza Adam — bardzo niewiele mają wspólnego z tym, co zwykliśmy rozumieć trafnie, pod określeniem „powieści". To nie jest powieść. Jest to pamiętnik. Wszystko jedno czyj: autora, czy jego bohatera. Ale pamiętnik. Nie powieść w formie pamiętnika — ale wyłącznie pamiętnik, będący kroniką myślącego katolika, zawieruszonego i błądzącego po ścieżkach wrześniowego chaosu.

W chaosie tym szuka prawdy, szuka sensu, szuka wreszcie — usprawiedliwienia tego, co stało się wokół. I znajduje — znajduje właśnie tam, gdzie on, katolik, katolicki pisarz i działacz, mógł tylko znaleźć: w wersetach Ewangelii, u trumny św. Andrzeja Boboli. „Szatę godową" rozpoczyna motto Mateuszowe: **„A wszedł Król, aby robaczyć siedzących i ujrzał tam człowieka nie odzianego szatą godową. I rzekł mu: przyjacielu, jakżeś tu wszedł, nie mając szaty godowej?".**

Na końcu swej pylnej, krwawej i beznadziejnej wędrówki — porucznik Adam odnalazł prawdę klęski: nie stało Narodowi Polskiemu owej szaty godowej, bez której zasiąść nie można do biesiady sprawiedliwych.

Katolik—czytelnik dopowie za katolikiem—autorem:

A szata owa tkana jest z wiary, nadziei i miłości.

Kazimierz Koźniewski

Z TEATRÓW

„MĄŻ POGNĘBIONY" J. B. MOLIERA W TEATRZE „JASKÓŁKA"

Według tego, co przeczytałem w „Scenie i widowni" (Nr 1 z listopada z. r.), „Jaskółka" ma być teatrem dla dzieci i młodzieży, słowem, teatrem, który przy swoich skromnych warunkach i środkach podjął wprawdzie zadanie piękne, lecz tak poważne i absorbujące, że powinien się do niego ograniczyć. Okazuje się tymczasem, że ambicje „Jaskółki" wychodzą poza wyraźnie zakreślone ramy, co może się niekorzystnie odbić na pracy właściwej i zrodzić powątpiewanie w wartość całego przedsięwzięcia. Obok miłej bajeczki scenicznej „Zapraszamy na wesele" pióra nieodżałowanej Aliny Kwiecińskiej, najutalentowańszej i najbardziej wyrobionej spośród pisarek dla dzieci, wystawiła „Jaskółka" „Grzegorza Dandin, czyli męża pognębionego" Moliera i zapowiada „Pana Lamberthier" Verneuil'a z p. Antonim Jaksztasem i Janiną Piaskowską w głównych rolach. Gdybym nawet dał się przekonać, że wystawienie „Grzegorza Dandin", choćby dla młodzieży starszej, należy do pomysłów szczęśliwych, to — podkreślam — niepokojąco mie zaskoczył „Pan Lamberthier", znak dwutorowości w repertuarze „Jaskółki". Moim zdaniem, podobna dwutorowość nie wyjdzie „Jaskółce" na zdrowie i dlategobym radził zaniechać, póki pora, równoległego repertuaru dla dorosłych. Osobny charakter teatru dla dzieci i młodzieży, o ile się przedsięwzięcie traktuje posłanniczo, albo przynajmniej ze zrozumieniem istotnym i poczuciem odpowiedzialności, wymaga, by mu się poświęcić wyłącznie skierować wszystkie wysiłki artystyczne do zdobycia odrębnego stylu — nieinaczej, stylu — i jak najwyższego poziomu.

Jeżeli już mowa o „Mężu pognębionym", nie posądzając kierownictwa „Jaskółki" o celowe przesunięcie tytułu za podtytuł, który brzmi pikantniej, nie dam się niestety, przekonać, że wybór tej akurat sztuki Moliera był ze względu na młodzież szczęśliwy. Kto pragnie, żeby się młodzież zabawiła i pośmiała, niech pragnie pedagogicznie. Zgódźmy się: cyniczna Angelika, gruboskórni państwo de Sotenville, szelmowski Klitander i obleśna parka Klaudyna — Lubin, rzeczywiście tworzą półświatek, którego wieprzowatość, obwarowana klasowymi przywilejami, budzi we mnie wstręt i odrazę, jednak, czy to oni wywołują śmiech na widowni? Nie. Chłopek Dandin, dusigrosz, który kupił sobie zubożałą szlachcianeczkę na matkę spodziewanych latorośli i pozwala się, że użyję balzakowskiego wyrażenia, minotauryzować, to on, postać raczej dramatyczna, niżeli komediowa, wywołuje burzę śmiechu. Lecz przecież różne bywają rodzaje śmiechu: śmiech z biduli Grzegorza „de la Dandinière" jest gatunku podlejszego, o duszy szyderczej, jadowity, pełny okrucieństwa, które wrażliwość jeszcze surowa nieuprawiona przez głębsze przeżycia nieuszlachetniona przez osobiste bóle wchłania wprost bezwiednie i w rezultacie zamiast przeciw pognębicielom obraca się przeciwko pognębionemu. Chyba jako teoretykowi, nie zaprzeczy nikt Janowi Jakubowi Rousseau, wydelikaconej intuicji wychowawczej, a właśnie Rousseau, wychowawca, namiętnie obrusza się na Moliera z powodu „Grzegorza" przypuszczam, że Emilowi by go nie podsuwał. Za świeżej pamięci dyskutowałem z kilku młodzieży, którzy wybrali się do „Jaskółki". Odpowiedzieli jednogłośnie: „Miał, co chciał" i żadnemu nie zdołałem wytłumaczyć, że Dandin chciał czegoś wręcz przeciwnego. Bo molierowska magia śmiechu podziała tu na nich swoiście i zepchnęła wrażliwość na bezdroża. Zresztą trudno dziwić się gołowąsom, skoro dojrzały i tak wytrawny Faguet powiada, że w rozpaczliwym krzyku pognębionego, słynnym „Tu l'as voulu, Georges Dandin!", streszcza się jedyna „moralność tej niemoralnej komedii".

Śliczna mi — jedyna moralność!

I, trafił kulą w płot — dla młodzieży!

Co do przedstawienia „Męża" w „Jaskółce", nie taję, że od reżysera, dekoratora i aktorów oczekiwałem grubo-grubo więcej, proporcjonalnie do famy, która krążyła przed premierą i obiecywała cuda. Ale cudów nie było. Było przedstawionko poprawne i to zaledwie tą poprawnością, którą spotyka się gdzieś na zabitej od świata deskami prowincji.

Szczegóły pomijam.

W końcu tamtego sezonu Miejskie Teatry Dramatyczne obejmowały cztery sceny, „Jaskółka" p. Haliny Starskiej doszlusowała jako piąta. Obyż nie stała się piątym kołem u tespisowego wozu, który dyr. Poreda sprowadził dopiero niedawno z kocich łbów ciężkiej próby na gładki asfalt powodzenia.

Janusz Kawecki

Z KSIĄŻEK

„TĘSKNOTA ZA MIECZEM"

Pierwszy Zachodni Kongres Dziennikarzy, odbyty w dniach 16 i 17 marca 1946 r., powziął uchwałę, wyrażającą się w nakazie pilnej obserwacji zagadnienia niemieckiego i jej pogłębienia. Wykonując ten nakaz Zachodni Komitet Dziennikarski postanowił zaznajomić czytelnika polskiego z odpowiednimi materiałami, zapoczątkowując m. in. wydawanie serii broszur p. t. **„Świat o Niemczech i o Niemcach"**. Jako pierwsza z nich ukazała się „Tęsknota za mieczem". Zawiera ona wypowiedzi głównych organów prasy światowej, jak i oświadczenia poszczególnych mężów stanu, na temat Niemiec, zebrane na przbestrzeni ostatnich kilku miesięcy, przez co daje wszechstronne oświetlenie dzisiejszej rzeczywistości niemieckiej. Publikacja przedstawia oficjalne stanowisko mocarstw okupujących — Rosji, Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji, względem Niemiec, bądź też postawę opinii publicznej tych krajów. Nie brak też głosów Czech i Szwajcarii. Pasjonującą dyskusję zamyka wreszcie sam jej przedmiot i temat — Niemcy, swą tradycyjnie twardą i surową mową.

„Tęsknota za mieczem" żywo zredagowana dzięki swej bogatej i niezmiernie interesującej treści, w poważnym stopniu poszerzy wiedzę ogółu polskiego o naszym odwiecznym i nadal nam zagrażającym wrogu.

Broszura ukazała się w Wydawnictwie Zachodnim w Poznaniu.

W. SOWIEŃSKI:

„Zarys morskiego prawa handlowego"

Książka Sowieńskiego jest pierwszym polskim podręcznikiem morskiego prawa handlowego, obejmującym całokształt zagadnienia, wypełnia więc poważną lukę w podstawowym materiale naukowym na którym oprze się rozwój naszego życia gospodarczo - morskiego. Autor wykładał przed wojną prawo morskie na Uniwersytecie Warszawskim, obecnie jest profesorem Wyższej Szkoły Handlu Morskiego w Gdyni. Jego praca jest dalszym krokiem naprzód w bardzo jeszcze u nas zaniedbanej dziedzinie prawa morskiego; daje ona pogłębienie niektórych zagadnień prawnych, posiadających większe znaczenie z punktu widzenia nauki prawa i obrotu morskiego.

Część pierwsza daje całokształt systemu morskiego prawa handlowego, a więc jego historię i zakres, omówienie kolizji norm przy stosowaniu tego prawa w międzynarodowej żegludze morskiej, charakter żeglugi handlowej, określenie podmiotu i przedmiotu morskiego prawa handlowego, rozważania na temat umowy o przewóz ładunku i podróżnych, na temat awarii i kolizji, wreszcie na temat ubezpieczeń morskich.

Część druga stanowi omówienie najważniejszych porozumień międzynarodowych w zakresie zagadnień prawnych morskiej żeglugi handlowej, a więc t. zw. konwencyj brukselskich z r. 1924 i 1926. Podanie na końcu książki dekretu z dnia 8.I.1946 r. o utworzeniu i zakresie działania Ministerstwa Żeglugi i Handlu Zagranicznego pozwala czytelnikowi umiejscowić aktualny stan organizacyjno-prawny naszej morskiej żeglugi handlowej na szerszym tle rozważań ogólnych.

Książka zaopatrzona jest w przypisy, spis literatury, skorowidz rzeczowy i wykaz skrótów, co ułatwia korzystanie z zebranego w niej materiału jak również z literatury zagadnienia.

K. PIWARSKI:

„Dzieje Gdańska w zarysie"

Książka Piwarskiego daje zarys całokształtu dziejów Gdańska w ujęciu naukowym, które pozwala na pogłębienie wiedzy historycznej przeciętnego, wykształconego Polaka. Obszerne przepisy są bardzo cennym dopełnieniem tekstu tej pracy. Autor, w imię prawdy dziejowej, nie waha się wystąpić przeciw utartym poglądom na rolę Gdańska w dziejach Polski. Obala legendę o Gdańsku „zawsze wiernym Rzeczpospolitej" i udowadnia, że to egoistyczne miasto w XVI wieku stanowiło groźny punkt wypadowy niemczyzny i zarazem tamę, grożącą Polsce stłumieniem jej morskiego oddechu.

K. WIECZOREK:

„Węgiel polski na tle sytuacji światowej"

Broszura K. Wieczorka jest odbitką z będącej obecnie w druku pracy zbiorowej p. t. „Specjalizacja polskich portów morskich", która powstała w wyniku konferencji naukowej, poświęconej powyższemu zagadnieniu, a zorganizowanej przez Instytut Bałtycki w czerwcu 1946 r.

Kapitalne dla naszej gospodarki narodowej zagadnienia węgla potraktowane zostało na tle aktualnej sytuacji gospodarczej świata i naszego kraju; znajdziemy więc w tej pracy omówienie możliwości produkcyjnych Polski i innych krajów w zakresie węgla, zbytu węgla dla pracy naszych portów morskich. Na zakończenie rozważań szczegółowych autor daje zwięźle systetycznie sformułowane wnioski które zarysowują ostro przed oczami ogólnikowo tylko zorientowanego czytelnika polskiego realne znaczenie gospodarcze jednego z największych bogactw naszej ziemi.

Życie Gospodarcze

1. Pod koniec 3 kwartału, a w szczególności w 4-tym kwartale ub. roku, zaznaczyła się dość znaczna — w stosunku do poprzednich kwartałów — zwyżka cen. Wg. biuletynu Instytutu Gospodarstwa Narodowego ogólny wskaźnik cen dla sierpnia ub. roku wynosił 92,8 (przy podstawie kwiecień = 100), dla listopada 117,2, a w ostatnim tygodniu grudnia 121,6. Znacznie silniej zwyżkowały ceny artykułów przemysłowych, aniżeli ceny żywności. Wzrost cen żywności ilustrują następujące liczby wskaźnika: sierpień — 73,1, listopad — 91,7, koniec grudnia — 96,4. W tym samym okresie wskaznik dla cen artykułów przemysłowych przedstawiał się następująco: 110,6—142,6 i 146,7. Jak widać z powyższego ceny żywności wzrosły o 21,3 punkty, podczas gdy ceny artykułów przemysłowych o 36,1. Wśród artykułów przemysłowych szczególnie silnie wzrosły ceny wyrobów gotowych, takich jak: tkaniny, odzież i obuwie, mydło. Wskaźnik dla tych artykułów wzrósł o 42,4 punkty.

Przyczyny powyższej zwyżki cen są liczne. Jednak do najistotniejszych należy zaliczyć zwyżkę płac i wzmożone pod koniec roku tempo prac inwestycyjnych.

Tendencja zwyżkowa ulegała już pod koniec ub. roku stałemu osłabieniu, a z początkiem b. roku osłabienie to stało się szczególnie wyraźne. W jakim stopniu ten ze wszechmiar pożądany proces jest wynikiem wzrostu strumienia towarowego, w jakim stopniu ustąpienia wpływów sezonowych (okres świąteczny), a w jakim stopniu działania takich czynników, jak restrykcje kredytowe i Danina Narodowa — trudno ustalić. W każdym razie faktem jest zahamowanie tendencji zwyżkowej, jak również faktem jest zdecydowana postawa rządu w stosunku do fluktuacji cen.

Znamiona opanowywania ruchu cen zasługują na szczególną uwagę wobec — będących w pełnym toku — prac nad planem odbudowy gospodarczej.

2. O ile najistotniejszym warunkiem realizacji planu jest właściwa regulacja (stosunek cen) i stabilizacja (oczywiście nie bezwzględna) cen, o tyle o rozmiarach planu, a inaczej mówiąc, o tempie odbudowy decydować będzie stopień pomocy zagranicznej.

Zagadnienie to staje się szczególnie aktualne od 2-go kwartału b. roku, kiedy zajdzie konieczność zastąpienia pomocy UNRR'y.

Pomijając dostawy w ramach już zawartych umów, wymienić należy następujące możliwości uruchomienia importu zagranicznego:

1) W wyniku postanowień europejskiego komitetu węglowego (ECO) za każdego dolara z tytułu dokonanego eksportu węgla uzyskuje się dodatkowego dolara tytułem kredytu.

2) W wyniku pertraktacji min. Minca w Ameryce powstała możliwość użycia naszego złota i wierzytelności, znajdujących się w St. Zjednoczonych i Kanadzie.

3) W lecie ub. roku rząd nasz uzyskał od miarodajnych czynników ZSRR zapewnienie pomocy zarówno towarowej, jak i finansowej (pożyczka złota).

4) W b. roku winna nastąpić realizacja otrzymanych kredytów z Eks-Import Banku (90 mil. dol.).

5) Wobec wykonywania przez Polskę postanowień układów w Bretton Woods powstają warunki dla uzyskania pomocy funduszu walutowego i Międzynarodowego Banku Odbudowy.

Oceniając perspektywy gospodarcze Polski w b. roku, należy mieć na uwadze, że w szczególności od rozwiązania powyższych zagadnień, t. zn. zagadnienia cen i pomocy zagranicznej, zależy urzeczywistnienie zamierzeń, zawartych w Planie Odbudowy.

(t)

Szeroki horyzont

W 11-stu przeciw niemieckiej bombie atomowej

KAISER WILHELM INSTITUT PRACUJE

Już w kwietniu roku 1940 było wiele wiadomości, wskazujących na to, że Kaiser Wilhelm Institut w Berlinie prowadzi wytężone prace w kierunku rozbicia atomu. A później, w roku 1942, kiedy właśnie Amerykanie rozpoczęli realizację swego planu wykorzystania energii atomowej, znanego pod krpytonimem „Manhattan Projekct", Wydział Wywiadu Ministerstwa Ekonomicznego Prowadzenia Wojny w Londynie otrzymał od swoich agentów elektryzującą wiadomość: Niemcy zlecili największej fabryce elektrotechnicznej na świecie — Norsk Hydro — zwiększenie produkcji „ciężkiej wody" z trzech do dziesięciu tysięcy funtów rocznie.

Informacja ta mogła mieć tylko jedno znaczenie. Uczeni amerykańscy wiedzieli, że „ciężka woda" jest najlepszym „morderstwem" w procesie otrzymywania Uranium 235. Ponieważ alianci nie mieli wystarczających ilości „ciężkiej wody", a jej przygotowanie musi trwać przynajmniej półtora roku, poczęli z powodzeniem stosować w swych laboratoriach grafit. Jednakże sprawozdania brytyjskie stwierdzały, że Kaiser Wilhelm Institut posunął się już bardzo naprzód w swych badaniach.

JAK SPARALIŻOWAĆ „NORSK HYDRO"?

Brytyjskie czynniki rządowe wysunęły na czoło zagadnień pilnych sparaliżowanie „Norsk Hydro" i zniszczenie jego już istniejących zapasów „ciężkiej wody". Dowództwo lotnictwa było zdania, że nalot bombowy na tę fabrykę, otoczoną górami, jest nie do przeprowadzenia rozporządzalnymi wówczas typami samolotów; utwierdziło się przekonanie, że zadanie zniszczenia fabryki wchodzi w zakres „Commando".

Na jakiś czas przed tą całą sprawą, garstka ludzi z norweskiego ruchu oporu, opanowała statek żeglugi przybrzeżnej „Galtesund" i przeprowadziła go poprzez niebezpieczeństwa pól minowych i łodzi podwodnych do szkockiego portu Aberdeen. Jeden ze zbiegłych w ten sposób spod panowania niemieckiego Norwegów, był specjalistą hydroelektrykiem, który już w ruchu oporu zorganizował był niezwykle sprawnie działającą sekcję.

Inżynier ów — nazwijmy go Einar, ponieważ nazwiska tych ludzi nie zostały po dziś dzień ujawnione — został natychmiast wezwany do Głównej Kwatery Sił Specjalnych w Londynie. Do wykonania swej misji kwalifikowała go jego inteligencja, siła fizyczna oraz mistrzowskie opanowanie jazdy na nartach i celne strzelanie z broni palnej. Pozatym znamienował go niewzruszony spokój i opanowanie każdego ruchu. W Norwegii zamieszkiwał przez całe swe życie nieopodal Norski Hydro, gdzie jego brat i przyjaciele zajmowali ważne stanowiska.

W Głównej Kwaterze, Einar spotkał się z doktorem Leif Tronstad, który był projektodawcą i wykonawcą budowy fabryki „Norsk Hydro". Pozatym doktór Tronstad rozwinął na dużą skalę produkcję „ciężkiej wody", a że przed wojną łączyły go bliskie stosunki z czołowymi niemieckimi fizykami, więc też miał duży zasób wiadomości o ich sposobach pracy i osiągnięciach. Na początku roku 1941, Tronstad został przez norweski ruch oporu przeszmuglowany do Szwecji, skąd natychmiast odleciał samolotem do Londynu.

Po rozmowie z Tronstadem, Einara zapytano: „Czy sądzi pan, iż Norsk Hydro może być zniszczone sąbotażem?". Z prawdziwie skandynawską dokładnością, zagadnięty rozważał sytuację; fabryka była wielkim gmachem, masywnie wybudowanym ze stali i betonu. Zarówno ona sama, jak i jej elektrownia, były przyczepione na krawędzi skał nad głęboką przepaścią. Wszystkie dojścia były strzeżone przez uzbrojone straże niemieckie. Okoliczne góry były niemal że nie do przebycia. „Ale — powiedział Norweg — chętniebyśmy spróbowali".

NOCNY SKOK.

Einara skierowano do specjalnego przeszkolenia. Ponieważ był zapalonym radioamatorem, więc rychło nauczył się obsługiwania silnego nadajnika, który wmontowano w małą walizeczkę. Przeszedł szkolenie w szyfrach, naukę skoków spadochronowych, a także przekazano mu szczegółowe polecenia i wskazówki działania. Miał on natychmiast powrócić do Norwegii, zbierać wszelkie możliwe informacje o Norsk Hydro i przekazywać je do Londynu, a wreszcie czekać na przybycie posiłków.

I tak, pewnej nocy, Einar skoczył ze spadochronem z pokładu bombowca RAF'u w górach, o jakieś 20 mil od swego domu. Kiedy stanął na ziemi, przypiął narty i podążył w stronę swego domostwa. Przybył tam jeszcze przed świtem i spożył śniadanie ze swą matka. Rodzinie swej powiedział, że wyruszył był z domu na dłuższą wycieczkę narciarską: przez kilka dni to niejasne tłomaczenie nie znajdywało wiary, ale w końcu przestano się tą sprawą zajmować, a już nikt nawet nie przypuszczał, że Einar brał udział w wyprawie na „Galtesund".

Przez swego brata, Einar uzyskał zatrudnienie przy budowie nowej zapory wodnej, która miała przyczynić się do wzmożenia produkcji Norsk Hydro. Z zachowaniem największych ostrożności, zorganizował swych najbardziej zaufanych przyjaciół w prawdziwy system szpiegowski, który stale zdobywał najdokładniejsze informacje o fabryce, przekazywane natychmiast do Londynu.

Produkcja „ciężkiej wody" wzrastała raptownie. Całą produkcję bieżącą przesyłano co miesiąc drogą morską do Niemiec. Pod wpływem tych informacji od Einara, rząd brytyjski polecił Sztabowi Kombinowanych Operacji natychmiastowe wykonanie ataku na Norsk Hydro.

Sztab ten, mimo całego doświadczenia w przeprowadzaniu samobójczych wypadów, stanął w obliczu najtrudniejszego zadania. Strome góry, nad którymi wieją silne wiatry, zmieniające kierunek i natężenie w sposób zupełnie nie możliwy do przewidzenia zgóry, czynią z Norwegii niesłychanie ciężki do wszelkich operacji spadochronowych lub szybowcowych. Ale w końcu przygotowano — przy współudziale doktora Tronstada, który wykonał dokładne modele celu — całą tę operację, która otrzymała kryptonim „Jaskółka".

„JASKÓŁKA" LECI DO NORWEGII.

W pierwszej fali miano przerzucić do Norwegii czterech wybranych ludzi — wszyscy pochodzący z okolic Norsk Hydro i doświadczeni narciarze — których zadaniem było wspomożenie Einara i przygotowanie gruntu do masowego ataku brytyjskich wojsk powietrznych.

Dwukrotnie już „Jaskółki" siedziały w bombowcu, który leciał nad Norwęgię, ale w obu wypadkach gęste chmury zmusiły samolot do zawrócenia do bazy. Wreszcie, w roku 1942, pewnego październikowego wieczoru nadszedł zupełnie niespodziewanie rozkaz odlotu; po kilku minutach wystartowano, by wreszcie, po kilku godzinach, wyskoczyć w otchłań nocy. Kiedy nazajutrz o świcie, rozejrzeli się w swej sytuacji, okazało się, że zrzucono ich o przeszło 100 mil od naznaczonego im terenu do działania. Z wielkim mozołem przez dwa dni zbierali porozrzucany w górskiej pustyni ich sprzęt, który wraz z nimi, w dużych container'ach, zrzucono z samolotów.

W ciągu następnych piętnastu dni, „Jaskółki" dokonały wielkiego wyczynu; na wysokości 4.000 stóp, w stałej temperaturze poniżej zera, ładunek 60 funtów jest maksymalnym obciążeniem dla pojedyńczego narciarza. Znaczyło to, że każdy odcinek marszruty, musiał być przebyty trzykrotnie przez każdego z uczestników wyprawy, który musiał przenieść swój 120-funtowy ładunek. Dzienna racja żywnościowa składała się z małego kawałka sera, garstki mąki i czterech sucharów.

Aż wreszcie, 9 listopada, zniecierpliwieni oficerowie Kombinowanych Operacji, usłyszeli dawno oczekiwany, umowny znak „Jaskółek". Dotarli oni do okolicy Norsk Hydro, skontaktowali się z Einarem i byli gotowi do pokierowania wojsk lotniczych na szybowcach przez radio i za pomocą sygnałów świetlnych.

TRAGICZNA KATASTROFA.

19 listopada, dwa bombowce „Halifax", wystartowały z Anglii, przy czym każdy holował za sobą szybowiec z wojskami lotniczymi, specjalnie wyposażonymi do akcji sabotażowej. Po kilku godzinach, wywiad aliancki z Norwegii doniósł, że wszystkie cztery maszyny zostały rozbite w katastrofie, zaś załogi zginęły, lub też dostały się do niewoli.

Dalej, nadeszły jeszcze i inne, hiobowe wieści: oficer niemieckiego kontrwywiadu, który przeszukiwał rozbite samoloty, znalazł był mapę, na której czerwoną linią zaznaczone było Vermork — miasto, będące siedzibą Norsk Hydro. W rezultacie, Komisarz Rzeszy dla Norwegii — Josef Terboven i głównodowodzący — generał von Falkenhorst, natychmiast udali się do Vermork, by osobiście zbadać jego urządzenia obronne. Oddziały SS „przeczesały" okolicę, aresztując każdego, na kim ciążył cień podejrzenia o probrytyjskie sympatie. Nie udało im się jednak schwytać żadnej z „Jaskółek".

W Londynie natomiast, musiano zaczynać wszystko od początku. Zarzucono zupełnie plan przerzucenia do Norwegii wojsk na szybowcach i postanowiono jedynie zrzucić tam na spadochronach sześciu Norwegów z Sił Specjalnych. Doktór Tronstad natychmiast przystąpił do szkolenia ich, gdyż nie było czasu do stracenia — „Jaskółkom" zaczynało już braknąć pożywienia, baterie ich nadajników były na wyczerpaniu, zaś one same żyły w strasznych warunkach w górskim schronieniu. Niemal wszyscy gorączkowali i cierpieli na dolegliwości żołądkowe — musieli jeść tłuszcz z renifera — ale co kilka dni, Einar opuszczał się na nartach w dolinę, by przejść przez posterunki gestapo i spotkać się ze swymi informatorami z Vermork.

OPERACJA „GUNNERSIDE".

Niedługo też zdobył nieprawdopodobnie brzmiącą wiadomość, że dla niezgłębionych powodów, Niemcy sądzili, iż celem spodziewanego ataku Commandosów, będzie nie Norsk Hydro, ale budująca się nieopodal nowa zapora wodna. Dlatego stu wartowników strzegło tego obiektu, zaś jedynie dwunastu — samej fabryki.

W końcu grudnia, operacja „Gunnerside" była już gotowa do przeprowadzenia. Sześciu Norwegów zeskoczyło w nocy na pokryte lodem jezioro Skryken, o 30 mil od miejsca postoju „Jaskółek". Zaledwie rozpoczęli marsz, by się z nimi połączyć, rozpoczęła się największa burza śnieżna, jaka od lat nawiedziła Norwegię. Przez pięć dni, Norwedzy leżeli przemarznięci w opuszczonym szałasie myśliwskim. Kiedy burza przeminęła, wyczerpani ludzie rozpoczęli marsz naprzód. Kiedy docierali już do miejsca umownego spotkania, spotkali w oddali dwóch nieznanych narciarzy. Nastąpiły denerwujące minuty — każde starcie z patrolem niemieckim mogło się okazać tragiczne w skutkach. W końcu, jeden z Norwegów naciągnął na swój mundur cywilną wiatrówkę i wyszedł na spotkanie nieznajomym, postanawiając, że o ile są to Niemcy, to odegra wobec nich rolę łowcy renów na zwykłym objeździe. Pozostali schowali się w śniegu, z bronią gotową do strzału. Ale nagle, poprzez świst wichru, doleciały ich radosne okrzyki: to obie grupy się spotkały — nieznajomi stanowili patrol „Jaskółek".

OSTATNIE PRYGOTOWANIA.

Teraz wypadki potoczyły się w szybkim tempie. W legowisku „Jaskółek", jedenastu Norwegów urządziło wielką radę bojową. Einar zdobył informacje najświeższej daty, podając rozmieszczenie i godziny zmiany wart wokoło fabryki, oraz o rodzajach zamków przy bramach.

Napastnicy mieli zjechać kilka mil po ośnieżonym zboczu, opuścić się po tysiącstopowej ścianie przepaści na samo jej dno, przebyć wartki potok i wspiąć się znowu tysiąc stóp po przeciwległej ścianie przepaści, by w końcu dostać się do bocznicy kolejowej, wiodącej do fabryki. Najmniejszy alarm mógł spowodować zalanie całej okolicy mocnymi niemieckimi reflektorami, umiejętnie rozlokowanymi w terenie.

27 lutego, o ósmej godzinie, dziewięciu ludzi wyruszyło w drogę. Cały niebezpieczny zjazd, a potym karkołomne opuszczenie się na dno przepaści dla tych objuczonych czułymi na każde uderzenie zapalnikami, ludzi, było jednym koszmarem. Nagła odwilż spowodowała, że potok na dnie przepaści wezbrał, a jego wody były pokryte krą. Znaleziono jednak w końcu napół zalany mostek lodowy, po którym przeprawiono się na drugą stronę. Zaczęła się karkołomna wspinaczka; Ronnie — dowódca wyprawy spojrzał na zegarek, stwierdzając, że dokładnie wytyczona marszruta, pozwala na lekkie zwolnienie tempa marszu. Krok za krokiem wdrapywano się się po niemal że pionowej ścianie, o wysokości tysiąca stóp, mając pełnię świadomości, że każde poślizgnięcie się, oznaczało śmierć.

Wreszcie dobrnięto na sam szczyt. Tam, doczołgano się wzdłuż wspomnianej bocznicy kolejowej aż o 500 stóp od fabryki. Można już było słyszeć wyraźnie szmer pracujących maszyn. Rennie szeptem upewnił się raz jeszcze, czy każdy z jego ludzi wie dokładnie, jakie zadanie stoi przed nim do wykonania.

NADSZEDŁ CZAS.

Wydał ostatnie rozkazy. Czas działania nadszedł. Jeden z Norwegów popełzł pod bramę, którą wybrano dlatego, że zamykana była tylko na łańcuch i kłódkę. Chwila pracy specjalnymi nożycami — i nocną ciszę przerwał szczęk stali. Wszyscy struchleli — ale jakoś hałas ten uszedł uwadze wartowników. Szybko prześlizgnięto się przez uchylone wrota; pięciu zbrojnych w „Steny" Norwegów zajęło wyznaczone pozycje wokół domu, który służył za koszary załodze niemieckiej. Zlecono im, gdyby doszło do alarmu, zastrzelenie żołnierzy niemieckich, którzy wybiegaliby ze swej wartowni.

Doktór Tronstad tak dobrze przygotował całą akcję, że kierowana przez Ronnie'go czteroosobowa grupa minerska, zużyła tylko kilka minut, na odnalezienie wejścia do tunelu, mieszczącego kable, a wiodącego do sali, należącej do oddziału koncentrującego wyrabiane chemikalia. Podniesiono klapę żelazną, zabezpieczającą wejście do tego tunelu; Ronnie i jeden z jego pomocników — gdyż dwaj pozostali zawieruszyli się w ciemnościach — poczęli pełzać wśród gmatwaniny drutów i kabli.

WŚRÓD NOCNEJ CISZY.

Pełniący służbę w sali fabrycznej niemiecki wartownik, zupełnie niespodziewanie ujrzał przed nosem lufy dwóch pistoletów, a silne kopniaki rzuciły go na ziemię. „Wyglądał na przestrzaszonego — piszą Norwedzy w swym zwięzłym raporcie — ale był spokojny i posłuszny.

Ronnie szybko obszedł zbiorniki, rury i maszyny, zakładając silne ładunki, — jak go nauczono na wielu próbach w Anglii — w tych miejscach, gdzie mogły one wyrządzić największe szkody. Wtem, na sali rozległ się brzęk tłuczonego szkła; ktoś przeskoczył przez okno parterowe. Ronnie już miał rozpocząć strzelaninę, kiedy zorientował się, że to jeden z jego zbłąkanych pomocników przychodzi mu tą drogą z pomocą. We trzech szybko uporali się z robotą.

A ryk syreny alarmowej, na który liczyli z minuty na minutę, jakoś się nie rozlegał. Ronnie wybrał trzydziestosekundowe zapalniki i zapalił je. Norwedzy opuścili szybko fabrykę. O kilkanaście metrów od jej budynku, rzuciła ich na ziemię potężna eksplozja, stłumiona przez grube, betonowe mury, ale i tak wstrząsająca całą okolicę.

Wtedy to dopiero, dały się słyszeć syreny alarmowe, a rozespani Niemcy wybiegali z wartowni, dopinając w pośpiechu pasy od ładownic. Ronnie i jego ludzie wybiegli już jednak byli tą samą nieprawdopodobną drogą, którą przybyli. A w samej fabryce, 1.000 funtów bezcennej, ciężkiej wody, wylało się z rozbitych cystern na posadzkę i sączyło się kanałami do ścieków...

Już po paru godzinach, generał von Falkenhorst, niemiecki dowódca na całą Norwegię, przybył do Vermork. Obejrzał miejsce wypadku i zawyrokował: „To jest najbardziej udane uderzenie, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek oglądać". A potym rzucił rozkazy; cała dywizja Wehrmachtu, w sile 12.000 ludzi, ruszyła w teren. Patrole narciarskie i nisko lecące samoloty wywiadowcze badały całą okolicę. Zablokowano wszystkie drogi i koleje, a Gestapo przeszukiwało dom po domu — ale nadaremnie. Ani śladu nie zostało po sabotażystach.

Pięciu — spośród sześciu — ludzi z operacji „Gunnerside", wyruszyło natychmiast w stronę granicy szwedzkiej, do której po wielu tarapatach dotarli i skąd przywieziono ich samolotami znowu do Anglii. Szósty i cztery „Jaskółki", pozostali w Norwegii, by nadzorować nowe działanie ruchu oporu i staczać codzienne potyczki z patrolami niemieckimi. Einar wrócił do swego podziemnego schronu, by nadal podawać informacje, tym razem o stanie zniszczeń i postępach w odbudowie Norsk Hydro.

OSTATNIE PODRYGI.

Pod koniec roku 1943, jego informacje stwierdzały, że szkody w fabryce zostały usunięte i że podjęto na nowo produkcję. Miano już wtedy do dyspozycji „Latające Fortece", które natychmiast zaatakowały ciężkimi bombami elektrownię, zasilającą Norsk Hydro.

Wtedy to Niemcy postanowili rozmontować fabrykę i przenieść ją do podziemnych hal w samej Rzeszy. Razem z maszynami, miano przewieźć do Niemiec wszystkie resztki „ciężkiej wody". Einar poprosił o pozwolenie zatopienia promu „Hydro", który — według uzyskanych informacji — miał przewieźć ciężarówki z drogocennym ładunkiem, poprzez jezioro Tinnjoe. Zezwolenie natychmiast nadeszło i jedyny z pozostałych ludzi „Gunnerside", nazywany „Bonzo", który działał w partyzantce norweskiej o jakieś 50 mil od fabryki, został wezwany przez Einera. Zaopatrzony w fałszywe papiery, „Bonzo" dostał się jako pracownik Norsk Hydro na pokład promu i zbadał, w jaki sposób go zatopić, by uniemożliwić próby wydobycia. Tuż przed wypłynięciem promu z ciężarówkami na pokładzie, założono odpowiednie ładunki.

I tak, po kilkunastu minutach, jedyny niemiecki zapas „ciężkiej wody", znalazł się na dnie jeziora Tinnsjoe. Niemcy szukali wtenczas jakiejś nowej broni, która potrzebna im była natychmiast. Nie można było tracić czasu na podejmowanie nowej produkcji „ciężkiej wody", ani też marnować ludzi i materiały na nowe eksperymenty; niemieckie próby nad bombą atomową stanęły na martwym punkcie.

Tym nielicznym bohaterom, którzy podjęli atak na Norsk Hydro, zawdzięczamy więc tak wiele.

Wilk.

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17, tel. 880-71. Konto P. K. O. — Nr I—727. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m 4.

Redaktorzy przyjmują: W. Bieńkowski we wtorki, czwartki i piątki g. 11—13, J. Dobraczyński w poniedziałki i środy g. 11 — 13. W. Kętrzyński w środy g. 13 — 14,30, soboty g. 12—14.

Prenumerata miesięczna 40 złotych. Kwartalna 120 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia" Widok 24 B-17965

Odbito w Drukarni „Czytelnik" Nr 2, Marszałkowska 3/5.